

wywiad z ANATOLIJEM KASZPIROWSKIM

* DODATEK
DLA DZIECI
GAZETKA NOWA *

GAZETA NOWA

ind. 359491 Zielona Góra Tygodnik

KURIER ZIELONOGÓRSKI

Alpco
WYDAWCA

DO WYGRANIA 100 000 ZŁ!
COTYGODNIOWY
KONKURS
GAZETY NOWEJ

speedway *

ROK I NR 21/90 31 MAJA 1990 R.

1500 ZŁ

Aeroklub Ziemi Lubuskiej zaprasza w niedzielę, 3 czerwca do Przylepu. Atrakcją imprezy będą przeloty pasażerskie nad Zieloną Górą, w godz. 10-18. Na lotnisku czynne będą bufety z napojami i gorącymi przekąskami.

Na otwarcie sezonu lekkoatletycznego SOLIDARNOSC *
GAZETA NOWA * ZO ZŁA

organizują

1 czerwca 1990 roku

MITING LEKKOATLETYCZNY
GRAND PRIX

Stadion przy ul. Sulechowskiej

ZAPRASZAMY

DZIEŃ DZIECKA
W RYTMIE SAMBY

to impreza, która w Drzenkowie

odbędzie się

1 czerwca od godz. 13.00-20.00

(atrakcje dla dzieci — filmy, estrada, komputery, przejażdżki, basen, teatr, aukcja psów, dyskoteka)

Mecz: dziennikarze „GN” — aktorzy TZL

2 czerwca od godz. 11.00-18.00

Ogólnopolski Turniej

Tańca Towarzyskiego

Dzieci i Młodzieży

Szczegóły w dodatku do „GN”



Anatol Kaszpirowski

Fot. Tadeusz Wyszyński

PRAWA MARSZ

Przez długie lata żyło się Andabacie jak u Pana Towarzysza Bieruta (Ochaba, Gomułka, Gierka) za piecem. Zawsze był „po linii i na bazie”. Wyznawał jedynie słuszne poglądy. W piersi biło mu serce Partii. Przed snem, zamiast wieczornego pacierza, odmawiał Między narodówkę. Sekretarzom w pas się kłaniał i w drogę im nie wchodził. Komitetowych wskazówek jak pani matki słuchał. Świcił 1 Maja, i 22 Lipca, i 7 Listopada. W pierwszomajowych pochodach wymachiwał czerwoną chorągiewką i wznosił zatwierdzone okrzyki. Po pijając w Palmiarni „lemoniadek”, snuł różową wizję lepszego jutra.

I oto ów sielankowy nastrój zmąciła w 1980 roku „Solidarność”. Ratując się przed duchowym katzenjammerem, stworzył na użytek własny i czytelników „Gazety Lubuskiej” nawiedzoną teorię dziejów. Według niej — wszystkiemu winni byli właśnie nawiedzeni. Gdyby nie oni, Polska nadal rosłaby w siłę, a ludzie żyli dostatniej.

ROBOTY BUDOWLANE

Jedyna kobieta na Budowie, pani Ziuta — referent ds. czystości zewnętrznej (sprzątaczką) — jest najpiękniejszą, najatrakcyjniejszą i najseksowniejszą osobą, właśnie na Budowie. Naj, naj — dlatego, że jedyna. Szacowana dama (czerwona zresztą) „Gazeta Lubuska” — wiedzie swój czytelniczy żywot na podobnej zasadzie. Niemniej „święte” oburzenie czytelników (adresy i nazwiska są słodką tajemnicą redaktorów GL) wynika z powodu i na temat tzw. likwidacji teje Gazety — wzrusza nas Robolom ogromnie. Jakoś nikt z „okrutnych” Likwidatorów społecznych nie mówi o weryfikacji — na przykład. A przecież pamiętamy, że właśnie dobrotliwy i „obywatelsko pokorny” szef Spółdzielni Wydawniczej Lubpress i redaktor naczelny „GL”, ongiś — jako członek Komisji Weryfikacyjnej — kazał Panu Czesiowi „określać się”.

MIASTO NA BOCZNYM TORZE

Nie należę do zagorziałych Obywateli. Wprost przeciwnie, jestem wobec nich podejrzliwy i nieufny. Oni zresztą też mnie nie rozpieszczają. Nie proponują mi promiennych funkcji, a kiedy zostałem nieopatrznie naczelnym „Nowej” nie składali mi gratulacji.

Jeśli robię pismo, to cenię sobie profesjonalizm i niezależność. Złymam się na emocje i nietolerancję w pisaniu, ale lubię pisanie wprost, dlatego też „Wprost” czy „Konfrontacje” czytam... Wychowałem się na prasie drugiej połowy lat pięćdziesiątych, choć wówczas miałem tylko trzy lata. Lubię czytać „Po Prostu” (to Lasoty) lub „Wyboje” (Misiornego), bo pisały wprost o zamordyzmie w małych miasteczkach. I choć mój idol poetycki Bursa „miał w dupi? (sic!) małe miasteczka”, ja — mimo to — lubię małe miasteczka do dziś.

Kiedy więc obywatele wraz z „Solidarnością” ogłosili owe „arogankie”, „nienawistne”, „obraźliwe” i „groźne” Oświadczenie, może nieco nieszczęśliwie sformułowane, i kiedy „Gazeta Lubuska” zalała lawina listów i „głosów poparcia” przypomniała mi

Nawiedzona teoria dziejów

Zaciskając zęby, przetrwał jakoś do pamiętnego 13 grudnia 1981 roku. Wtedy dał upust tłumionym miesiącami emocjom. Dołożył internowanemu Ołtarzewskiemu i Papinie, przejechał się po Najderze i innych awanturkach. Dał srogi odpór nawiedzonym, którzy za podszeptem zachodnich rozgłośni „ciągnęli dalej tę makabryczną zabawę w Indian”. Jako rasowy czerwonoskóry ogłosił triumfalnie „śmierć bladej twarzy” w sferze moralnej i publicznej.

Jakiż musiał przeżyć szok, gdy mimo jego prasowych kazań, polajane i apeli do „zdrowej części społeczeństwa”, „Solidarność” wróciła na polityczną scenę, wygrywając w dodatku czerwone wybory parlamentarne. Pozostała mu w tej sytuacji jedynie nawiedzona teoria dziejów, którą zresztą potwierdziło samo życie. Nawiedzeni rozmnożyli się bowiem jak stonka, rzucana w latach pięćdziesiątych przez amerykańskich imperialistów. Zagnieździłi nawet w sejmie, senacie i sferach rządowych. Ba, zabrali do podgryzania, tak bliskiej jego sercu i kieszeni, gałęzi RSW. Zasiadł więc Andabata pod palmowym liś

ciem i skrapiając łzami „lemoniadek” stworzył apokaliptyczną wizję świata bez monocelistycznego molocha RSW. Zaiste, przerażająca to wizja. Biedni emeryci próżno szukają darmowej prasy i taniej kawy, spacerowicze bezskutecznie uganiają się za zapakami, we wsiach pozostały jedynie kłonicie. Nie ma nawet czym skrzesać iskry nadziei. Nie ma kto kolportować odbijanej na powielaczku w konspiracyjnej piwnicy „Gazety Lubuskiej”.

Cóż, konkurencja czy prawa rynku to dla Andabaty pojęcia z całkiem innej planety.

„Proszę nawiedzonych, żeby się odsunęli od procesu reform” — molestuje. A jakże! Niech ustąpią miejsca Andabacie i jego towarzyszom. Gdy oni nas odnowią i reformują, wrócą stare, dobre czasy. Będziemy znowu żyć jak u Pana Towarzysza Bieruta (etc etc) za piecem.

Szanowny Mistrzu, może to raczej pan odsunie się od torów, zwłaszcza, że pomylił się panu perony i zawiadowcy. To naprawdę nie jest pański pociąg.

NAWIEDZONY EDWARD J. MINCER

Nie bój się!

Iżcie przecież o jedyną gazetę codzienną w mieście SdRP może sobie wydawać „podziemny” biuletyn. Nikt nie każe panu przesyłać, redaktorowi i towarzyszowi zasuwac fizycznie w piwnicy, ani biegać na Partyzantów i odpowiadać na głupie pytania nieistniejącej Służby Bezpieczeństwa.

Popieramy nawet na Budowie, hasło wyborcze SdRP: „Nie bój się, głosuj na SdRP”. Zaiste trzeba wielkiej odwagi, żeby zafundować sobie drugie 45-lecie „prawdziwej” demokracji, „właściwej” opieki socjalnej (ciężniutko, ale równiutko) itp itd Obywatelu! Pokonaj ten strach, przecież nie ma już SB, Komitetu Wojewódzkiego, ZOMO i wszystkich „zarumienionych” instrumentów władzy, zwanej szyderczo, ludową. Do wygrania masz jeszcze „swoją” gazetę. W której towarzysze, „nie będący wprawdzie orłami” (bez korony), uwijają ci informacyjne owadki z wielkim, czerwonym, kuleczkowym jajem. Czas na zaktądanie... podsluchu.

PAN CZESIŃ.

Telefony poparcia

się owa wielka szopka politycznego poparcia dla E. Gierka i P. Jaroszewicza, jaka przelatała się przez Polską Telewizję w 1976 roku, po wypadkach radomskich. Pamiętam, że uczyliśmy się wtedy do egzaminu z filozofii (marksistowskiej), a jednym uchem i skośnym okiem zerkaliśmy na telewizyjny ekran, gdzie kamera obejmowała Stadion Śląski lub Dzieściolecia, katowicki Spodek, a z grupy wielotysięcznego tłumu dobiegały głosy: „Potępimy wicherzycieli z Radomia i Ursusa”. Gierka zaś aurytatycznie stwierdzał, iż „Towarzysz Piotr owocnie kieruje pracami naszego Rządu”.

Nauka nie poszła w las. Dziś „GL” przynosi codziennie owe „telefony poparcia”, a część jej kierownictwa dawniej praktykując w dysponenckim „białym domu”, wie jak je organizować. Osobiście radziłbym zrezygnować z tej praktyki zastępując ją codzienną relacją typu: 72.348 „listów popierających” dotarło do „GL”; ewentualnie dzielić je jeszcze na wyrażające „wolę społeczeństwa”, „wzrost ciemnoty Obywateli”, „rosnącą popularność „GL”, „rosnącą arogancję”, „obawy przed ubezwłasnowolnieniem przez Solidarność”, „przerażenie przed zgrozą”, i na te, które są obraźliwe. Osobne miejsce trzeba zarezerwować dla listów „wyrażających uznanie i poparcie Redaktorowi Naczelnemu”.

Czytając to, jeszcze przed niedzielnym gło-

sowaniem, obawiałem się o stan nastrojów w mieście. Krytyka parlamentarzystów w „GL”, którzy tak bezapelacyjnie zyskali poklask w czerwcu, krytyka piórem czytelników, niepokoiła. Byłem gotowy w nią uwierzyć. Test wyborczy temu zaprzeczył.

O co więc idzie? Myślę, że parlamentarysty nie żądają dostawnej likwidacji „GL”, zespół ma prawo jako „Lubpress” kontynuować inicjatywę, a też i starać się o majątek po RSW. Rzecz w tym, że „GL” nie musi być zespołem jedynym w tym staraniu. Czyżby redaktorzy „GL” uważali się za jedynych kompetentnych? Problemem zmiany warty i pokoleniowego oddechu w mieście nabrzmiewa od dawna. Stworzenie wrażenia, że zawieszenie wydawania „GL” po zbawii województwo dziennika jest nadużyciem. Raczej idzie o to, by w dobie prywatyzacji szansę wydawania dziennika miały też inne zespoły. Do tego trzeba dziś niestety niebagatelnych pieniędzy. Może zatem, w imię dobrze pojętej konkurencji, RSW się tym majątkiem podzieli?

Trzeba odkryć karty. Zespół „Gazety Nowej” gotowy jest podjąć się takiego ryzyka. Trzeba go będzie oczywiście wzmocnić o profesjonalistów; tacy są i w „Gazecie”. A przecież ba-

(Ciąg dalszy na str. 10)

ANATOL KASZPIROWSKI

ROZMAWIA BOGDAN KUNCEWICZ – SPECJALNIE DLA GN

BOGDAN KUNCEWICZ: W jednym z wywiadów powiedział Pan, że nie każdy może podać się Pana sugestiom. Na jakie organizmy Pańska sugestia działa?

Dr ANATOL KASZPIROWSKI: Złe mnie pan zrozumiał, tak nie powiedziałem. Tutaj nie chodzi o mój wpływ — po prostu, mówi się o tym, że niestety, wszystkich chorych wyleczyć nie można. Istnieją przykłady, gdzie nawet bardzo proste chirurgiczne operacje przeprowadzane przez bardzo dobrych specjalistów w tej dziedzinie źle wypadają. Tutaj duże znaczenie ma także przypadek, nieprze widziana sytuacja itp. Ja trzymam się ogólnofilozoficznej zasady, że: „nie ma absolutnej prawdy — we wszystkim, nawet tam, gdzie wydaje się, że ona być powinna”. A więc zrozumiałe jest, że wszystkich ludzi nie można objąć leczeniem, że żadna dziedzina medycyny nie jest ponad celem. Psychoterapia, w wariacie przedstawionym przeze mnie jest częścią ogólnej medycyny — i to częścią, która powinna zyskać olbrzymie poszanowanie zarówno pacjentów jak i znawców tematu. Jest to część medycyny, która powinna być zastosowana w wielu działach jako powszechny środek leczenia.

B. K. Czy Pańskimi metodami mógłby posługiwać się ktoś inny?

Dr A. K. Nie ma żadnej określonej metody — a ściślej, stosuję różne metody, wszystko zależy jedynie od sytuacji. Zgłębiając psychologię tłumy, udało mi się przeprowadzić bardzo wiele spotkań, przy bardzo różnorodnym audytorium. Wiem już, jak nawiązać kontakt z tłumem, jak osiągnąć zamierzony cel.

B. K. Ponoć oddziałuje Pan dwustopniowo — najpierw na psychikę, a potem przez psychikę na ciało. Czy można powiedzieć, że nie docieranie do niektórych osób spowodowane jest nieumiejętnością przełamania ich bariery psychicznej?

Dr A. K. Na pewno tak, oczywiście, tak jak pan powiedział, bariery psychicznej. Aczkolwiek, tutaj dochodzi dodatkowo pewna stała, w której są jakieś materialne nośniki, z których formowane jest wewnętrzne lekarstwo.

B. K. A więc generalnie, sugestia Pana trafia zwykle do ludzi słabych energetycznie — psychicznie?

Dr A. K. No właśnie, taki postulat, taka teoria mogła powstać jedynie z inicjatywy ludzi słabych — i to słabych rozumem. Taką definicję mogą wygłaszać jedynie bardzo niekompetentni psychoterapeuci. Mówienie, że moja terapia działa na organizmy słabe to absurd. Działanie mojej sugestii może być wytworzone jedynie dzięki dużej koncentracji. Z kolei, by skoncentrować się trzeba posiadać wolę. A więc działaniom mojej terapii bardziej podlegają nie ludzie słabi, lecz ci, którzy bardziej podatni są na koncentrację — a więc silniejsi. Dlaczego dziennikarze ciągle zadają mi tego typu pytania? Dlaczego upatrują w moim działaniu jakiegoś kłamstwa, podstęp, dlaczego są nieufni, dlaczego przeszkadzają zamiast pomagać? To jest tak, jakby pytać chirurga: z jakich elementów zbudowany jest skalpel, pod jakim kątem chirurg trzyma skalpel podczas operacji. Proszę pytać o ogólne problemy.

B. K. Zatem proszę powiedzieć, czy istnieją jakieś uboczne skutki Pana terapii?

Dr A. K. To jest w dalszym ciągu pytanie, na które nie powinienem odpowiadać. Czy popielniczka znajdująca się na stole może służyć także do soku lub jako zbiornik na „siru”?! Lekarz psychoterapeuta — samo słowo lekarz, zawiera intencję działania. W jakiej głowie, jakim umyśle może zrodzić się



Anatol Kaszpirowski i Bogdan Kuncewicz

Fot. T. Wyszniński

myśl, że lekarz jest przygotowany by wyrządzać człowiekowi zło, by postępować wbrew etyce medycznej i nie brać odpowiedzialności za swoje czyny? Dlaczego internisty nie pytacie, czy tabletką nie chce zatruć chorego? Dlaczego nie pytacie chirurga, czy czasami nie chce pokroić na kawałki dziecka? Przecież to śmieszne, wszyscy doskonale wiedzą, że chirurg dziecięcy czy jakkolwiek lekarz ma dobre intencje. Jest to zawód, z którego jesteście rozliczani i by go wykonywać trzeba mieć do niego powołanie, trzeba go lubić. Mam już dosyć pytań, w których zawarty jest podstęp. Czy ja mogę zrobić czołowi zło? Jestem lekarzem, chcę zajmować się chorymi, chcę im pomóc, zrobić dobrze — lubię to, cieszę się gdy pomogę drugiej osobie. Używanie psychoterapii jako dziedziny naukowej — dziedziny medycznej jest już dawno udowodnione, dlaczego więc widzi pan w moim działaniu jedynie zło?

B. K. Ponieważ, co prawda jest to dziedzina już od dawna stosowana, ale niestety w naszym systemie mało popularna — w przeciwieństwie do krajów zachodnich — szczególnie USA, gdzie psychoterapia, cieszy się olbrzymim powodzeniem. Myślę, że ujemne skutki należy tutaj również w kalkulować. Ponadto, nie jest prawdą, że widzę w Pana działaniu jedynie zło — po prostu pytam, tak jak jest moja rola.

Dr A. K. Audytorium jest bardzo różnorodne — są tutaj również osoby chore psychicznie — jawnie i skrycie, bywają także z ich strony bardzo ostre reakcje, które w rezultacie nie są czymś strasznym. Człowiek np. może zasnąć, może rozluźnić się, czasami może mu „zakręcić się” w głowie, aczkolwiek te zjawiska mijają dość lekko bez ujemnych skutków. Bywa tak, że wymienione reakcje są niezbędne do wyleczenia pacjenta. Natomiast, niebezpiecznym czynnikiem jest tutaj reakcja niekompetentnych ludzi, którzy stwarzają panikę wokół człowieka będącego w transie, rozluźnionego, któremu w danej chwili jest dobrze. Ci ludzie swoim krzykiem przekazują niepokój — i w rezultacie pacjent zaczyna np. bać się swoich zimnych rąk, bać się swojego, w danej chwili ciężkiego ciała. Co prawda, w efekcie końcowym, strach oraz inne uboczne działania nie są istotne, na tyle ważne by siać panikę. Nawet jeśli pacjent wystraszy się, jeszcze bardziej rozluźni czy też będzie miał zawroty głowy, to te działania można poprawić, one nigdy nie kończą się śmiercią czy też zmianami, których nie można odwrócić. Gorzej jest kiedy chirurg zrobi błąd i np. usunie pomyłkowo pacjen-

towi nerkę, której nie można już zwrócić. Natomiast, jeżeli u pacjenta, który poddał się terapii wystąpił uboczny skutek — np. zimne ręce, to zapewniłam pana, że pod wpływem sugestii ich ciepłota może wrócić do normy już po pięciu minutach. Jeżeli chodzi o chorych psychicznie, to każdemu wiadomo jest, że oni patrząc np. na koncerty muzyki rockowej, filmy ukazujące przemoc — zresztą, filmy nie muszą koniecznie być szokujące — mogą znaleźć się pod wpływem różnych reakcji. Zatem, nie powinno nikogo dziwić, jeżeli te osoby znajdują się na moich seansach i zaczną swym zachowaniem „odbiegać” od normy. Nie powinniśmy swoich sądów, swoich opinii kształtować na wywodach chorych psychicznie. Powinniśmy kierować się zachowaniem i wywodami ludzi rozumnych.

B. K. Panie doktorze, zauważyłem, że zaczyna Pan asekurować się przede mną. Zapewniam Pana, że moim celem nie jest obrażanie Pana, że nie mam złych intencji wobec Pana, opieram się jedynie na wywodach innych psychoterapeutów.

Dr A. K. Rozumiem pana, zapewniam jednak, że ci ludzie — psychoterapeuci, którzy formułują tego typu teorie, odznaczają się jedynie nieprofesjonalizmem, w ogóle nie są zawodowcami. Sądzę, że mówienie o delikatnych sprawach związanych z profesjonalizmem jest bez sensu. Chirurg nie opowiada swoim pacjentom, jak będzie robił operację, farmaceuci powszechnie nie opisują jaki jest skład tabletek, okulisci nie uczą swoich pacjentów jak należy likwidować kataraktę. Ważny jest jedynie efekt leczenia, efekt, który jest namacalnym, niepodważalnym faktem. Jeżeli chce pan oglądać telewizor, to po prostu, podchodzi pan do niego, włącza i ogląda określony program, który pana zainteresuje. Nie ma sensu zaglądać z tyłu i zastanawiać się, z czego taki odbiornik składa się, jak jest zbudowany. Niech zagłębienie i głębsze interesowanie się określoną dziedziną będzie jedynie w kompetencjach specjalistów, wszystkiego wiedzieć nie można — i nie trzeba. Powiedział kiedyś Einstein: „Ja nie chcę znać prędkości światła, ponieważ, to jest zapisane w każdym podręczniku...”

B. K. Generalnie stawia się Panu zarzut, że posługuje się Pan hipnozą...

Dr A. K. To nonsens, jak zresztą wiele zarzutów pod moim adresem. Proszę zauważyć, że ludzie podczas seansów chodzą, rozmawiają, mają otwarte oczy.

Za tydzień druga część rozmowy

Każdy ma swojego Holendra

EDWARD J. MINCER

W XVII wieku przeżyliśmy potop szwedzki. Dzisiaj nasz kraj (i region) zda się zalewać holenderska fala. Może więc warto śledzić w kantorach, jak kształtuje się kurs guldena oraz rozglądać za rozmówkami polsko-holenderskimi? Będzie jak znalazł, kiedy kontakty z przedstawicielami kraju tulipanów zmieniają się w handlowe kontrakty. A może to napisać bardzo szybko... Zaczynamy, w każdym razie, od nauki.

„PARTNERZY WIEDZY”

Jak zwykle, na początku był po prostu... człowiek z inicjatywą, dyrektor technikum w Helmond, A.M.W. van der Linden. Organizując dla swych uczniów zajęcia praktyczne w okolicznych przedsiębiorstwach, doszedł do wniosku, że ich pracownikom przyda się permanentna edukacja. I, że można zrobić na tym interes. W 1968 roku ruszyły pierwsze kursy, w 1984 roku zrodziło się z tego Stowarzyszenie Kwalifikacji Zawodowych SBK, które w dwa lata później dorobiło się okazałej siedziby i zaczęło funkcjonować jako Centrum Szkolenia Technicznego.

Dziś SBK Kenners van Kennis (czyli: „Partnerzy wiedzy”) jest renomowaną firmą szkoleniowo-doradczą, posiadającą biura krajowe w Utrechcie i Nijmegen oraz filie zagraniczne w Belgii, Dani i Wielkiej Brytanii. Jako kolejny cel wyznaczono sobie Polskę. Koncepcja zyskała wsparcie finansowe rządu holenderskiego oraz Europejskiego Centrum Innowacji Menadżerskich EBN (sponsorowanego przez EWG).

Trudno było nie dać się złowić na holenderską wędkę, skoro przynęta stanowił rozpisany na 10 lat program współpracy i kilkadziesiąt milionów guldenów (wyłożonych w ok. 75 proc. przez EWG). Podpisano więc w Zielonej Górze oficjalną umowę pomiędzy SBK i trzema polskimi partnerami: Towarzystwem Naukowym Organizacji i Kierowania, Krajową Radą Radców Prawnych oraz Instytutem Przemysłu Maszynowego ORGMASZ. Dlaczego właśnie w Zielonej Górze? Znaleźli się tu po prostu ludzie, którzy potrafili docenić holenderską ofertę: poseł Józef Zych — przewodniczący KRRP, doc. dr hab. J. Wróbel — kierownik Zakładu Organizacji Systemów Produkcji WSI oraz A. Rutka — prezes oddziału TNOiK. Poza tym — Zielona Góra wyznaczona została jednym z pięciu ośrodków (obok Torunia, Bydgoszczy, Łodzi i Wrocławia), w których współpraca zostanie zapoczątkowana.

Pytanie zasadnicze: co będziemy z tego mieli? Najogólniej mówiąc — transfer zachodniej technologii, wiedzy i doświadczeń w dziedzinie m.in. zarządzania, marketingu, logistyki, rachunkowości, komunikacji społecznej. Szansę „wejścia do Europy” nie jako ubogi krewny, lecz równoprawny partner, któremu nieobce są reguły rynkowej gry.

W pierwszym etapie z każdego ośrodka wyjedzie do Holandii na trening szkoleniowy 100 przedstawicieli przedsiębiorstw, urzędów i banków oraz radców prawnych. Dalej przewiduje się kształcenie rzeczoznawców, ekspertów naukowych i nauczycieli przedmiotów zawodowych. Wreszcie — powołania w Zielonej Górze, Bydgoszczy i Wrocławiu tzw. centrów BIC, pomagających chętnym, zaradnym młodym ludziom w zakładaniu i rozwijaniu własnych przedsiębiorstw.

W przyszłości współpraca obejmie cały kraj, staniemy się w ten sposób jednym z ogniw zachodnioeuropejskiego systemu. Według dyrektora SBK E. J. W. Smoorenburga, Polska jest na razie krajem dużego ryzyka. Holendrzy wierzą jednak, że w końcu „wyjdziemy na prostą”. Nie przywykli przecież inwestować w zupełnie niepewne interesy...

„SAME SŁOWA NIE WYSTARCZĄ”

Na realizację postulatów wicepremiera Mikołajczyka trzeba było czekać ponad czterdzieści lat. Ale pierwsze po Jałcie prawdziwie wolne i demokratyczne wybory w Polsce (coż, że tylko do samorządów lokalnych) odbyły się poniekąd pod międzynarodową kontrolą. Przynajmniej w 10 miejscowościach woj. zielonogórskiego (Zielona Góra, Babimost, Kargowa, Krosno, Nowa Sól, Sulechów, Szprotawa, Wolsztyn, Zbąszyń, Zagań), gdzie przyglądali im się bacznie przedstawiciele władz komunalnych z Holandii.

Zieloną Górę wizytowała delegacja z Valkensvaarel, leżącego niespełna 15 km od Eindhoven: przewodniczący rady gminnej, zarazem wiceburmistrz Eric de Moor (chrześcijański demokrat), Alex van Hedel (liberal), Marius von Erp (demokrata) i Jan van Ampting (z partii młodych). Przede wszystkim — zdumiała ich niska frekwencja. „U nas, w wyborach komunalnych sięga ona 70—80% — tłumaczy mi M. van Erp — walka o mandaty jest niezwykle zacięta. Zdajemy sobie wszyscy sprawę, jak bardzo jest ważne, kto zostanie wybrany. Czujemy się odpowiedzialni za przyszłość naszej gminy”. Ba, wstyd mi było wyjaśnić, że w Polsce jeszcześmy do tego, niestety, nie dorosli.

„Co by pan zrobił po wyborze na prezydenta Zielonej Góry?” — pytam E. de Moora. Nie waha się ani chwili: „Zwołał niezależnych fachowców i kazał im zrobić raport o stanie miasta. Z wyraźnym wskazaniem — co trzeba i można zrobić już dzisiaj, co w dalszej kolejności”. I znowu — jak mu wyjaśnić, że w Polsce jest to niemożliwe, choćby z uwagi na brak przygotowanych do takich zadań fachowców. Dlatego nowy samorząd czeka na wstępnie żmudna praca „wgrzyzania się” w istotę rzeczy. Zresztą, sympatyczni Holendrzy nie są przyzwyczajeni do tak rewolucyjnych zmian, jakie muszą się teraz u nas dokonać. Można im tylko zazdrościć.

Oczywiście, goście z Valkensvaarel byli zainteresowani nie tylko wyborami. Przyjął ich prezydent Edmund Blachowiak, odwiedzili kilka zielonogórskich firm. I w tym miejscu wypada się pochwalić — najlepsze wrażenie zrobiła na nich spółka ALPO, będąca wydawcą naszej gazety. Spędzili w niej blisko trzy godziny.

„Od dwóch dni słyszymy tylko: przyjeżdżacie, dajcie. — mówi M. van Erp — Owszem, jesteśmy zainteresowani współpracą. Tylko, że same słowa nie wystarczą. Trzeba nam przedstawić konkretną ofertę, pokazać swoje możliwości. Tak właśnie zrobiono w ALPO. Jest więc nad czym pomyśleć”.

Tak, jest coś w tym, że w naszym regionie tylko ALPO zdecydowało się na sponzorowanie niezależnego tygodnika. W 30-tysięcznym Valkensvaarel wychodzi podobnych tygodników aż pięć. Daleko nam do Holendrów, o! daleko...

Czy wizyta holenderskich gości przybliży oba kraje? Może... We wrześniu przyjadą kolejni, z gminy Loon go Zand. Warto więc uczyć się języka (może być niemiecki) i przygotować odpowiednie oferty. Jak stoi gulden?

Holendrzy w gminie Kozuchów

— To prawda, nie za bardzo chcieliśmy tu kiedyś do Was przyjeżdżać, tu do Was, to znaczy do jakiegokolwiek kraju Europy wschodniej — mówią przedstawiciele Rady Europy, którzy przybyli do gminy Kozuchów z Holandii jako obserwatorzy naszych miejscowych wyborów samorządowych: MARTIN SCHREURS — radny Rady Gminnej z ramienia Partii Liberalnej VVD w Culemborg, ROLIE GRONINGER — radny z ramienia Partii Pracy PVDA w gminie Leek, RINDERK de BRIN — radny reprezentujący w Radzie Partię Chrześcijańsko-Demokratyczną C. A. w gminie Leek. — Bo przecież nawet wczoraj na granicy polsko-niemieckiej musieliśmy swoje odstać. To jest nie do pomyślenia na granicach takich państw jak Francja, RFN, Hiszpania, a przede wszystkim Holandia. Tam wystarczy pobrać paszportem!

Ale teraz przyciągnęła nas nowa sytuacja w Polsce. Mamy nadzieję, że w przyszłości i tę granicę będziemy przekraczać normalnie.

Po długiej podróży w piątek wieczorem „lądują” u doktora Jana Konofalskiego (nowo wybrany radny) w Broniszowie w gminie Kozuchów, który w marcu z polską delegacją działał w Komitecie Obywatelskich i kandydatów na radnych, przebywał w Holandii, w gminie Leek i był obserwatorem tamtejszych wyborów komunalnych. W niedzielę 27 maja rola obserwatorów przypadnie radnym z Holandii.

SOBOTA 26 MAJA

Zanim zaczną się niedzielne wybory, można po dyskutować o funkcjonowaniu gminy w Polsce i w Holandii. Jak to jest — mówią Kozuchowianie — my będziemy demokratycznie poprzez nowo wybranych radnych wybierać burmistrza, a w Holandii burmistrza mianuje królowa.

Pada więc pytanie ze strony kandydatów na radnych desygnowanych przez Komitet Obywatelski „Solidarności”: jaki wpływ mają radni na zmianę burmistrza, jeśli nie sprawdza się na tym stanowisku?

Holenderscy radni nie rozumieją... U nich nie ma takich burmistrzów. Chyba, że się zdarzy raz na 200 lat — śmieją się. Dodają: taki burmistrz może „zachorować” i powołuje się nowego. U nich o miejsce w radzie walczą poszczególne partie, które wystawiają na kandydatów swoich ludzi. Istnieje odpowiedzialność partii politycznej przed społeczeństwem gminy. Myślą, że i u nas w przyszłości partie polityczne będą wystawiały kandydatów. Ale teraz, że w tej nowej sytuacji „typowo polski” sposób przeprowadzania wyborów jest odpowiedni. Już w przeddzień pierwszych, demokratycznych wyborów w Polsce, wiedzą, że duże szanse na zwycięstwo mają kandydaci spod znaku „Solidarności”.

W sobotni wieczór przy ognisku prowadzone są już mniej oficjalne rozmowy. Daleko od Europy stawia nas bariera językowa. Goście nie mogą się nadziwić, dlaczego Polacy nie posługują się językami obcymi, niemieckim lub angielskim. To bariera, którą w kontaktach z zagranicą należy pokonać.

NIEDZIELA 27 MAJA

Obserwatorzy z Holandii rozpoczynają wizytację poszczególnych lokali wyborczych w gminie. Frekwencja nieduża. Jedynie w Broniszowie przekracza, już koło godz. 15-tej, 50 proc. W Holandii frekwencja w wyborach komunalnych bywa większa. Ale też narzekają na zbyt małą aktywność społeczeństwa. Opowiadają, że jeżeli w Holandii kandydatka lub kandydat na radnego uzyskają w tym samym okręgu jednakową liczbę głosów, to wybiera się... zdziwiają się nasi czytelnicy, kobiety, ponieważ zbyt mało kobiet włącza się do życia społecznego i publicznego gminy. Ale też dzięki żeńskiemu elektoratowi może kandydat na radnego zyskać decydujące poparcie — zwraca się Rolie Groninger. Tak było w jego przypadku. I dodaje, że podział na partie polityczne zaznacza się nawet w domu. Np. jego żona należy do innej partii i nie głosowała na niego. Dowiadują się, że u nas głosują całe rodziny i nie patrzą na przynależność partyjną kandydata.

Holenderscy goście mają wiele osobistych spostrzeżeń. Uważają, że jesteśmy za mało oszczędni. Nie potrafimy tak ustawić kabin do głosowania, aby wykorzystać światło dzienne, a traciłmy niepotrzebnie energię świetlną w mrocznych kabinach. Ich zdaniem niepotrzebne są także kotary. Zbytek. Przecież każdy i tak kreśli jak chce... Według nich lokale wyborcze są źle użytkowane. Jak można było nie pomyśleć o luzdach niepełnosprawnych. Do niektórych lokali, wyborcy musieli wchodzić po krętych schodach. Wjazd na wózek inwalidzkim był niemożliwy. Niestety nie mogą powiedzieć, że społeczeństwo kozuchowskie żyje w dobrze zorganizowanej gminie.

DOROTA ZYN

FERMENT w WINIARNI

ANNA BUŁAT-RACZYŃSKA

Burzliwy proces fermentacji również w ludzkich głowach zaczął się w zielonogórskiej „Winiarni”, czyli Lubuskiej Wytwórni Win jakoś tak na początku roku. Wtedy to pracownikom tej firmy zaczęło zaglądać w oczy widmo bezrobocia. Bez specjalnych oporów ze strony obu działających w zakładzie związków zawodowych dyrektor posłał na zieloną trawkę zarówno tych pracowników, którym wygasły umowy o pracę, jak i mających z LWW umowy na czas nieokreślony. Wszystko z „przyczyn dotyczących zakładu pracy”. Nie byłoby w tym nic specjalnie dziwnego, gdyby nie okazało się, że w miejsce zwolnionych pracowników dozoru dyrektor zamierza zatrudnić nowych ludzi — firmę prywatną zajmującą się ochroną mienia. — Na zdrowy rozum widać było, że to się zakładowi nie może opłacić, nie mówiąc już o pozabawieniu ludzi zatrudnienia — mówią członkowie „Solidarności 80”. — Zatrudnieni dotychczas portierzy byli przecież w zakładzie najtańszą siłą roboczą. Dyrektor miał najwidoczniej własny interes w zatrudnieniu firmy.

Zrobiła się „zadyma” i w związku z tym dyrektor ze swojego pomysłu zrezygnował. Nadal stosował jednak inne nie zrozumiałe dla działaczy związkowych w zakładzie posunięcia. Zatrudnił na powrót niektórych, wybranych przez siebie bo posłusznych mu ludzi, którym wygasły umowy o pracę, pozostawiając poza zakładem innych, mających wcześniej umowy o pracę na czas nieokreślony.

O tych ostatnich upomnieli się na początek działacze nowego związku zawodowego, który w tej sytuacji zawiązał się w zakładzie. Do związku „Solidarność 80” zapisało się w Winiarni do tej pory 17 osób.

— Musieliśmy utworzyć nowy związek — mówi wiceprzewodnicząca komisji zakładowej „Solidarności 80”. — Zaden ze związków istniejących dotychczas w LWW nie spełniał swoich statutowych obowiązków. Ani „Solidarność” ani związek branżowy nie umiały albo nie chciały przeciwstawić się dyrektorowi i spróbować zahamować jego absurdalne, krzywdzące ludzi posunięcia. Z braku odwagi albo z wygodnictwa. Mało kto lubi się narażać. Szef „Solidarności” w zakładzie to nie jest przecież zły człowiek. On chciałby dobrze dla wszystkich. Trzeba mu to oddać. W osiemdziesiątym załatwiał ludziom cebulę i byłby znakomitym pracownikiem socjalnym. Ale związkowiec musi mieć coś więcej. Znajomość przepisów, prawa. Musi umieć się w tym poruszać, nie dawać się oszukiwać, nie pozwalać sobą manipulować. A nasz szef „Solidarności” robi to, co mu każą poplecznicy dyrektora. Oni decydują, a on swoim podpisem firmuje ich decyzje. Czy można się z tym pogodzić?

Dawniej należeli do „Solidarności”. Cała szesnastka. Wyrosli z tego ruchu, w nim się wychowali, są dlań pełni szacunku. To „Solidarność” nauczyła ich w sposób bezkompromisowy walczyć o interesy pracownicze. — Do samego ruchu, do idei nie mamy przecież żadnych zastrzeżeń — mówią ci z „osiemdziesiątki” — Ale wiadomo, że każdy związek to tylko ludzie. Tylko do nich można mieć pretensje i zastrzeżenia. A my mieliśmy. Dlatego postanowiliśmy walczyć. W imię naszych wspólnych przecież interesów, co tak trudno zrozumieć, niektórym współpracownikom. Mniejsza przecież o nazwę. Chodzi nam tylko o silny związek zawodowy, o nic innego.

Nie identyfikują się z ruchem Mariana Jurczyka „Solidarność 80” — (to zbieżność nazw,

nie więcej”). Dlatego na wszelki wypadek sformułowali oświadczenie wyjaśniające: „Posiadamy własną osobowość prawną i własny dowód rejestracji. Stoimy na gruncie porozumień sierpniowych i ustaleń okrągłego stołu — pozostajemy w pełnej zgodności z założeniami programowymi NSZZ „Solidarność” pod przewodnictwem ccha Wałęsy”.

O pomoc prawną zwrócili się do Zarządu Regionu „Solidarności” w Zielonej Górze i Region pomocy im nie odmówił. Przeciwnie, wspiera działania „osiemdziesiątki” z Winiarni. Wkrótce druga rozprawa sądowa o przywrócenie do pracy niektórych zwolnionych. „Racja jest po naszej stronie i dlatego musimy wygrać. I wygramy. Może wtedy reszta pracowników, przekonana się, że nie robimy nic tylko dla siebie, że chcemy i możemy zrobić coś dla innych”.

— W naszym zakładzie wiele jest nieprawidłowości, mnóstwo problemów do rozwiązania — mówią przedstawiciele „Solidarności 80” w LWW. — Chodzi między innymi o płace, o niespójności w ich strukturze. Ludzie nie zarabiają zgodnie z kwalifikacjami, płace zawiąza się i zaniża niezgodnie z obowiązującym w zakładzie systemem. Dyrektor nie liczy się z naszym związkiem, lekceważy nas i nie podejmuje dyskusji. Ale z drugiej strony chyba już wystarczająco daliśmy mu się we znaki. Zreształ nawet z funkcji, choć nie złożył jeszcze wypowiedzenia. Jest na zwolnieniu lekarskim. Co mu dolega? My chyba najbardziej...”.

Czują, że dyrektorowi już na firmie nie zależy. Wiedzą, że pewnie na wszelki wypadek, związał się już z jedną ze spółek. „On przygotowuje sobie nowy grunt, a my tu przecież zostajemy! Czy możemy spokojnie patrzeć jak zakład się rozsypuje?”.

Nie zamierzają rezygnować, nawet wówczas, kiedy trudności będą się piętrzyć. „Jeśli zajdzie potrzeba nawet rozszerzymy działalność. Wszystko jedno pod jakim szyldem. Może wrócimy do korzeni, do „Solidarności” z której wyrosliśmy, a może nie.

Jedno jest pewne. Jesteśmy otwarci dla wszystkich, którym losy zakładu, a więc i własne nie są obojętne. Przecież jeśli sami sobie nie pomożemy, to nikt obcy nie będzie się dla naszych interesów narażał. Gdyby ludzie do nas przyszli, byłoby nam wszystkim łatwiej — mówią związkowcy z „osiemdziesiątki”.



Chciałbym opisać zdarzenie, które przypomniała mi się największego rozkwitu tzw. „minionego okresu”.

Wykonywałem wraz z dwoma kolegami pracę projektową zleconą Zakładowi Usług Inżynierskich przez Spółkę „Flamal” SA na zasadzie umowy — zlecenia. Pracę wykonaliśmy w terminie, wyceny zostały sprawdzone i zatwierdzone, minal okres wycofania na przelew (dosyć krótki zresztą) i wreszcie mogliśmy podjąć wypłatę. Mialo się to odbyć w siedzibie spółki „Flamal” przy ul. Krętej.

Po wypełnieniu odpowiednich formalności w pokoju dyrektora, zostaliśmy skierowani do pokoju naprzeciwko, gdzie księgowa miała dokonać wypłaty. Jeszcze w progu dobiegł nas głos dyrektora: — Panowie tam są takie cegielki na wsparcie funduszu wyborczego Komitetu Obywatelskiego, to przy okazji możecie wspomóc...

Zaczelśmy tłumaczyć, że już wsparliśmy, zakupując wyżej wymienione cegielki w naszej (macierzystej) firmie, ale prawdopodobnie dyrektor tego nie słyszał.

U pani księgowej normalnie: rachunek, kwota, podatek, podpis... — Acha, pan zarobk tyle, to zakupi pan cegielki za 10 tys. zł.

Pierwszy kolega utargował na 7 tys. tłumacząc się, jak poprzednio dyrektorowi. Drugi, ponieważ zarobił mniej, zakupił za 2 tys. Ja odmówiłem. Powiedziałem, że jestem apolityczny i nikogo nie popieram.

— Ale pan dyrektor powiedział, żeby nie wypłacać, jak ktoś nie kupi — usłyszałem.

Po moim stwierdzeniu, że sposób zachęcania do wsparcia finansowego przypomina jako żywo działania pewnej skompromitowanej i już nie istniejącej organizacji, księgowa dokonała jednak wypłaty.

— Zapiszę sobie pana nazwisko i wkleję u nas jutro pracy pan nie dostanie — stwierdziła pani księgowa, gdy wychodził.

Po kilku dniach przekonalem się, że pani księgowa bynajmniej nie rzuciła słów na wiatr. Otóż do osoby zajmującej się w ZUI realizowanym przez nasz zespół tematem zadzwonił dyrektor spółki „Flamal” zlecając opracowanie dalszych etapów projektu z jednym zastrzeżeniem.

— Ten pan (tu moje nazwisko) już u nas nie będzie pracował, zachował się niegrzecznie i ja sobie nie sypię.

(nazwisko i adres znane redakcji)

SZANOWNNA REDAKCJO!

W 15 numerze „Polityki” przeczytałem fragmenty głosnej ostatnio „Przerwanej dekady”. Jest tam taki passus, w którym Gierek mówił, że Ruchem z przyjemnością widziałby go na ławie oskarżonych jako „amerykańsko-francuskiego agenta”.

Ta wypowiedź przypomniała mi pewne moje zyciowe, ale i poniekąd lubuskie, doświadczenia z nie dawnej przeszłości.

Na początku września 1982 r. jako nauczyciel PO w klasie VIII uczestniczyłem w konferencji metodycznej, która miała ustawić nauczanie tego przedmiotu na ówczesne czasy. Centralnym punktem tego spotkania był wykład — w zasadzie „mowa do ludu” — w wykonaniu plk. Zenona Brambora, który pełnił jakieś komisaryczne funkcje przy Kuratorium.

Clou jego wypowiedzi było właśnie stwierdzenie, że Gierek i Jaroszewicz to szczególnie głęboko zakonspirowani agenci CIA, którzy od wielu lat byli sterowani w kierunku rozwalenia systemu, socjalizmu, itd. Oczywiście dzisiaj nie mogę dokładnie odwoływać poszczególnych słów i zwrotów. Motyw gierkowskiej „agentury” przepalał się z marksistowsko-pollitrukowską analizą „Solidarności” i wsty skiego tego, co potuszało polskie serca w latach 1980-81. Wnikliwość tych przemysłów, ich intelektualna głębia i jakość znana jest zapewne wszystkim, którzy zetknęli się z korpusem oficerów politycznych LWP — szczególnie tych starszego chowu.

Dla mnie jednak, najbardziej wstrząsające było skonstatowanie, że ten pan naprawdę wierzył w to, co mówił. Nie ulega żadnej wątpliwości, że gdzieś w pracowniach GZP LWP i innych tego typu instytucji wysmażono również koncepcję „Gierka imperialistycznego agenta”.

Oczywiście z tezami p. Brambora nie można i nie warto było polemizować. Można je było tylko ośmielszyć. Dla mnie to ośmielenie skończyło się komisją kuratorską i wnioskiem o usunięcie z zawodu, czego uniknąłem dzięki rozsądkowi i dobrej woli moich ówczesnych przełożonych wszystkich szczebli, od p. dyrektora Gruszeckiej po wicekuratora p. Koniecznego, co zachowuję we wdzięcznej pamięci.

Na łamach „Gazety Lubuskiej” ostatnim czasem spotkałem listy plk. Brambora (pełne politycznej i obywatelskiej troski o losy Rzeczypospolitej), wiem też, że aktywnie wcielił w życie swe ideowe zaangażowanie i polityczną wiedzę w szeregach dzisiejszego Frontu w Sulechowie.

Z poważaniem
MICHAŁ PRZYDROŻNY
Nietkowlce

P.S. Kłbucje Wam i „Nowej”. Jest coraz lepsza, żyje jeszcze lepszej.

ŚWIAT DO GÓRY NOGAMI

ALINA SUWOROW

Pani kochana, gdybyś ja miała pięcioro dzieci, to o chłopie bym już nie myślała. Ona przychodziła codziennie. Jedzenia było w bród. Tańce to i świnki uchował przedtem, i kacuszki i kurki. Wódka też była, to i przychodziła.

Ja mu mówiłam: tobie potrzebna nie baba, a kobieta co by o dziecko dbała. Jakaś starsza, może wdowa, no wie pani...

Pracowity był zawsze, dobrze się uczył, córka też się dobrze uczyła, ale szczęścia do kobiet nie miał. Ta pierwsza zostawiła go z dzieckiem, ze Stasiem. Sama poszła na hulanki. Stasiu był trochę opóźniony w rozwoju. Miał cztery latka, gdy ich zostawiła. Teraz będzie siedem lat, jak ich zostawiła.

Dbał o niego, nie powiem. Wszędzie go pro wadzaj, pokazywał, uczył. Do kościoła też chodził, do Czerwieńska. Teraz Stasiu był u komunii. Ksiądz dziwił się, że tak ładnie wszystko umiał na pamięć. I pacierz potrafił bez zająknięcia, moja pani. To on sam go nauczył, kazał po sobie powtarzać, raz po razie. Jaki to ładny chłopiec, jakie ma włosy. A i zbudowany jak należy, wysoki. Tylko, wie pani, ta głowa... Ja już wcześniej mówiłam, gdy by on w naszą rodzinę poszedł, gdyby w Tadka, ale on całkiem w nią... Na początku, nie powiem, dobrze my z nią żyli. Młode to było, ledwie osiemnaście lat. Ale potem papierosy się zaczęły, i winko, i wódeczka. Jego wcale nie słuchała, tylko koleżanek. No, i w końcu odeszła. Myślę sobie, jakoś damy sobie radę, jakoś tego Stasia się wychowa. a tu masz ci los, zjawia się ta Hanka...

Pięcioro własnych miała od pierwszego chłopca. Najadł się jakichś tabletek i... zszedł. Ona przyjechała tutaj z tą całą piątką.

Mówiłam mu, tobie kobita do dziecka potrzeba, a Hanka to Stasia wcale nie szanowała. I po głowie go bila. A jeść dawała oddzielnie, w kuchni. Spać też kazała osobno. Tak się nie godzi, moja pani. I to dziecko, i to. Kiedyś za to bicie po głowie będzie musiała odpokutować u Pana Boga. Ja to jej mówiłam.

Zamieszkała w tym mieszkaniu naprzeciwko. O tu, niech pani zobaczy. Tak, tak, dziury duży w podłodze. Szczury były takie jak koty. Wieczorami to spacerowały spokojnie po kuchni i pokoju. Gdy sąsiadka się wyprowadziła, zajęła mieszkanie po niej. Trochę lepsze, a i dziur w podłodze tyle nie było.

Widziała, że chłop robotny. Pięć świnek wte dy trzymał. W mieszkaniu trzy wórsalki, krzesła, szafa, i pralka była. Ona nie miała nic. Rok temu, jak się wyprowadziła. Wszystko ze sobą zabrała. W PGR-ze dała jej nowe mieszkanie, bo tyle dzieci, a wokół pełno szurów. Sam dyrektor Szymański powiedział na apel żeby tylko dbała, żeby nie było takiego bałaganu. Ale ona nie dbała. Ciągłe bałagan, brud, i dzieci też brudne. Nie jej się nie chciało. A chłopu jeść trzeba przecież naszykować, gdy wraca z pracy. Siedziała tylko, i paliła papierosy. Świniek też nie chciała trzymać, i nigdzie nie pracowała. Bardzo nerwowa ta Hanka była. Trzy lata pożyli. Słub wzięli w Urzędzie. Myślałam, jakoś to może będzie. Ale gdzie tam...

WCiborzu to był już parę razy. Zrobiła z niego wariata. Pojechałam tam. Posłali, aby wyszedł po mnie na dworzec. A przecież wariata by nie puścili, więc pani sama powie. Stasiu chodził wtedy taki brzydki i głodny. Ludzi prosił o suchy chleb...

Dali jakieś tabletki i wypuścili.

Potem to już zaczęło się na dobre. Daria się wniebogłose. Wyleciała jakaś kobieta z bloku, a on dalej ją oblapić i całować. Ledwo mu się wyrwała. Potem, na te halasy przybiegła jakaś dziewczyna, to on wtenczas do niej...

Później na chlewnie rozebrał się prawie, pa ni, do gola i mówi, że położy się koło świni, a one i tak go nie ruszą. Ale gdzie tam. Do domu przyszedł cały w gnoju. Ja nie wiem, pani, co mu odbilo z tymi świniami.

Jak przyszła siostra Hanki, zapalki pożyczę, mówił do niej, że jej pokaże swojego szwanca. To ona, pani, wystraszona, dalej do drzwi. A on na to, że gdyby inni zobaczyli, to wspólnie zrobiliby na tym interes, ale je mu na pieniądzech nie zależy.

Teraz, na komunię Stasia ksiądz dał pięćdziesiąt tysięcy i powiedział, że zamiast na wódkę to on woli dać na Kościół. A przecież należy się choćby po kieliszeczku, powiedz pani sama...

Lodówka i telewizor stoją zepsute. W ogóle to bardzo pobożny się zrobił. Nawet ludziom nie mówi dzień dobry tylko, niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. To i patrz na niego go dziwnie.

Mówi, że dookola czarna magia. Małej Marcie kazał kupić kilo kapusty, pić z niej wywar i codziennie się modlić, to nic jej się zle go nie stanie. Mańkę pyta czy jej męża, co to w Torzymiu leży, w piersi nie piekło. A skądże ona, pani mogła wiedzieć. Przestraszyła się kobieta i dalej za telefon dzwonił do tego Torzymia. Mąż ją wysłuchał. A ona po całej wiosce rozpowiadała, że to niby, no wie pani, świr.

Z tymi kacuzkami to też, mówię mu, żaden cud. Kaczka siedziała, to i wysiedziała. Jajka dobre, wylęgiły się wszystkie. O tu teraz w kuchni je trzymam, bo zeszedł nocy szurur dwie zadusił. No to mówię mu, żaden cud. A

LISTY

RZECZNIK KO „SOLIDARNOŚĆ” W ODPOWIEDZI:

W związku z tym, że rzecznik Komitetu Obywatelskiego p. Edward Mincer na gościnnych łamach „Gazety Nowej” zaatakował przy pomocy pejoratywów nasz Chrześcijańsko-Demokratyczny Blok Wyborczy, w ramach którego ja ubiegam się o mandat radnego, żądam od „GN”, w oparciu o prawo prasowe publikacji niniejszej repliki.

Zaliczenie mnie do starych sił politycznych trudno włączyć do pomyłek, bowiem p. Edward Mincer dobrze zna moją polityczną historię. Wie, że pracowałem w „Solidarności” od pierwszych dni jej istnienia, że dla „Solidarności” byłem przez siedem miesięcy internowany, że od stycznia 1989 r., kiedy p. Mincer jeszcze był rzecznikiem prasowym „starych sił” działałem w Zarządzie Regionalnym NSZZ „Solidarność”, a w Komitecie Obywatelskim w 1989 r. pracowałem na wyborcze zwycięstwo „Solidarności”.

Nie jestem w Bloku osoba nietypową, dobierał się bowiem według kryterium katolicyzmu i poczucia przydatności dla miasta. Są wśród nas członkowie różnych ruchów politycznych: Pax, KPN, Stronnictwa Pracy, Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, Stronnictwa Demokratycznego. Są również obywatele politycznie nie zaangażowani. Nie ma natomiast ateistów z bylej PZPR i... pana Mincera. Skupiliśmy się według tego kryterium dla budowy przyszłości a nie przeszłości. Pan Mincer o

on na to, że nie, że to pierwsze spełnienie, że ręka boża...

Z szklankami to sama już nie wiem. Ludzie mówią, że takie kruche do sklepu przywieźli, i że u nich też pękają. Pękło parę u nas, a on wszystkie szkło zebrał i trzyma. Mówi, że złe moce. Kaziu mu mówi, weź i wszystko wyrzuć, skoro złe moce. Bardzo się wtedy klócili. Ja tam sama nie wiem, jak to naprawdę z tymi szklankami, a ludzie od razu, że głupi, że ma świra...

Wcześniej, to był całkiem inny. Hanka też nerwowa była. Klócili się więc często. Nie dbała o nic. Ani jedna wersalka nie została. Pralkę to sam wyniósł kiedyś na drogę, potłukł i tak zawiązał. Chyba musiała go zżenerwować...

Z tą piłką motorową to dobrze nie pamiętam. W domu przez jakiś czas była. Najpierw dała się na siebie przez korytarz, bo ona była w tym drugim mieszkaniu i nie chciała otworzyć. Wtedy on wziął piłkę i zaczął pilnować drzwi. Przepiłował je, ale jej nie dopadł. Zdała żyła uciec przez okno. I szczęście, bo kto wie, co by jej wtedy zrobił.

Później pojechał do Ciborza. Ona się o to postarała. A przecież gdyby była sama trochę spokojniejsza, gdyby mu jedzenie naszykowała, i świnki mogła przecież uchować. Nigdzie nie pracowała. Cały dzień w domu... Sama też powinna się leczyć na te nerwy. Rok będzie jak odeszła do bloku. Swoją piątkę zabrała i jeszcze dwójka jej przybyła, chłopak i dziewczynka. Co miesiąc trzeba dawać na nie pieniądze. Bo w końcu to też i jego dzieci. A po co to wszystko było? Ja mu od początku mówiłam: Ta Hanka to nie dla ciebie...

Teraz to i Stasiu wydobrał. Dba o niego jak dawniej. Codziennie do Czerwieńska odwozi, na przystanek, a stamtąd do Zielonej Góry, do szkoły życia. Zdolony jest Stasiu. Dobrze się uczy. Pani z niego zadowolona. Mówi, że oni w tej szkole życia to, aby literki wszystkie poznali, i umieli się pod pisać. Czasami, to taki szybciej na ludzi wyjdzie jak kto inny... A gdyby Hanka była, to w tym roku na pewno by jeszcze do komunii nie poszedł. Bał się jej jak ognia.

Mieszkanie brudne, zimne, szurów pełno, bo tu chlewnia niedaleko. Duże jak koty, wie pani, o gdzieś takie... a może nawet większe. Mówili, że dadzą w bloku jak tylko się zwolni. Kto wie, kiedy to będzie. Przedtem, jak był PGR to jeszcze jakoś było, i kierownik był dobry. Teraz to już nie to. Teraz ma my spółkę. Zaraz jak tam ona? Bek... „Ben” — jakoś tak, i „Farm” na koncu.

A w ogóle, pani, to kto by pomyślał. Kiedyś wszędzie brakowało pracowników, a teraz wyrzucają, że niby za dużo. Świat do góry nogami się przewraca... Może po tych wyborach coś się zmieni.

A pani to jak myśli?

tym wie i jako dziennikarz i jako rzecznik prasowy Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”. Dlaczego więc zaatakował Chrześcijańsko-Demokratyczny Blok Wyborczy? Oczekuję od KO publicznego wyjaśnienia, czy postąpił tak jako jego rzecznik, czy w ramach innych układow politycznych.

Tak czy owak wrzucenie mojej osoby wraz ze wszystkimi kandydatami Bloku do worka konicji z PZPR jest kompromitujące, ale nie dla nas.

MET JERZY PODBIELSKI

DROGI PANIE JURKU!

1. Pisałem tekst „Kartka z kalendarza” oczywiście nie jako rzecznik prasowy KO „S”, lecz jako dziennikarz, dla którego łamy „Nowej” nie są bynajmniej łamami gościnnymi.

2. Rzecz jasna, nie zaliczałem i nie zaliczam Pana do starych sił politycznych, w końcu o wiele więcej nas łączy, niż dzieli, darzyłem i darzę Pana dużą sympatią i szacunkiem. Moim zdaniem wystarował Pan w wyborach w niewłaściwym towarzystwie.

3. Stwierdzenie, że w styczniu 1989 byłem jeszcze rzecznikiem prasowym „starych sił” uznaję za przejęzyczenie, wie Pan doskonale, iż pełniłem funkcję rzecznika Izby Rzemieślniczej, która przysparzała mi po zweryfikowaniu z Rozgłośni PR w staro wojennym.

4. O ile mi wiadomo, członkowie KPN wstąpił w wyborach „z otwartą przyłbicą”, pod własnym szyldem.

5. Powtórze, jestem przeciwnikiem ukrywania swej tożsamości politycznej i fałszywych politycznych.

EDWARD J. MINCER

FORMACJA zaś...

JANUSZ KLIMENKO

Gdyby tak zapytać pierwszego z brzegu przechodnia: „Z czym kojarzy się pani(u) nazwa „Formacja Zaś”?”, jestem przekonany, że nikt nie będzie w stanie powiedzieć chociażby jednego słowa. Właśnie nadarzyła się okazja, by na łamach „Nowej”, wyjaśnić co kryje się pod nazwą „Formacja Zaś” i bliżej przyjrzeć się jej działalności. Okazją tą jest zdobycie przez Teatr Absurdy „Zzzzz” i miejsca na Przeglądzie Kabaretów Amatorskich „PAKA 90” w Krakowie, który to Teatr wchodzi w skład „Formacji”. Aby jednak wszystko było po kolei zaczynam od czasów zamierzchłych.

W 1988 roku Władysław Sikora wpadł na pomysł, by zorganizować coś na zasadzie grupy artystycznej o profilu kabaretowym. Stowarzyszenie to miało być kontynuacją dobrych tradycji kabaretu „Potem”, który rozwiązał się pod koniec roku 1987. Jak się później okazało, tylko na rok. Natychmiast opracowano statut i wybrano prezesa, którym został pomysłodawca, Władysław Sikora (pseudonim Sikor). W tym miejscu chciałbym przytoczyć kilka znamienych punktów Statutu, co pozwoli zorientować się w charakterze „Formacji Zaś”.

▲ „Formacja Zaś” jest po to, aby wywołać zdrowy śmiech, a nie po to, by naprawiać to, co spieprzyli inni.

▲ Prezes jest nieomylny i ma decydujący głos w każdej sprawie. Dzięki swej nieograniczonej mądrości prezesem jest Sikor.

▲ „Formacja” pod żadnym pozorem nie współpracuje z Telewizją z wyjątkiem mi gawek i wywiadów (maksimum raz w tygodniu).

▲ Zespoły „Formacji Zaś” nie biorą udziału w festiwalach w Kołobrzegu, Opolu, Zielonej Górze, San Remo itp. (nie dotyczy wykonawców indywidualnych).

Jak widać „Formacja” zaczęła działać z jasno sprecyzowanymi celami. Dokładnie 5 stycznia 1988 roku.

Do „Formacji” może należeć każdy, kto odczuwa w sobie jakieś powołanie najchętniej zbliżone do artystycznego, chociaż nie tylko. Można również zrealizować się organizacyjnie. „Formacja” ma na celu kształtowanie gustów studentów (i innych) według dobrych wzorów. Marzeniem Prezesa jest, by ludzie przestali śmiać się z dupy Maryni, uszu i taniej polityki. Chce by wrócił wzór kabaretu literackiego, opartego na dobrym tekście, który posługuje się pure nonsensem, czarnym humorem i dobrym pomysłem. Mija ponad dwa lata działalności „Formacji Zaś”, obecnie nazywana jest zielonogórską szkołą kabaretową Władysława Sikory, i nie jest to bezasadne określenie. W trakcie swojej działalności szkoła ta może pochwalić się bardzo dobrymi wynikami. Przyniosła zielonogórskiemu środowisku studenckiemu i miastu wiele cennych na gród. Chronologicznie trzeba zacząć od kabaretu...

„POTEM”

który to wszystko zapoczątkował. Zespół powstał dzięki Dariuszowi Kamysowi, Krzysztofowi Langerowi i oczywiście Władysławowi Sikorze. Gdy wykrystalizował się skład (odszedł K. Langer i doszli nowi), kabaret, przy olbrzymim nakładzie pracy, zaczął osiągać sukcesy na arenie krajowej. **ROK 1983.** Otrzymują wyróżnienie na PACE oraz nagrodę indywidualną dla Władysława Sikory za największą masę wdzięku. **ROK 1986.** Grand Prix PAKA 86. I nagroda, Nagroda Publiczności, Nagroda Pracowników UJ, nagroda za Największą Osobowość Przeglądu dla Ewy Sopielskiej. **ROK POZNIJ** na tym samym festiwalu sukces zostaje powtórzony. Grand Prix 87. W maju tego samego roku „Potem” wygrywa Studencki Festiwal Piosenki w Krakowie. Na jesieni 1987 roku I nagroda na Akademickim Przeglądzie Piosenki Satyrycznej i Kabaretowej APPSiK 87 w Łodzi. W **PRZEGŁADZIE** PAKA 88 i nagro-



Czyżby nowy etap Formacji Zaś? Adama Nowaka „Raz, dwa, trzy...”

da w Dogrywece na PACE 90. To tylko najważniejsze osiągnięcia zespołu. Należy dodać, że kabaret uczestniczył 5-krotnie na Festiwalu Artystycznym Młodzieży Akademickiej FAMA, skąd również przywoził laury i bardzo dobre recenzje. Następnym kabaretem, który działał pod skrzydłami „Formacji Zaś” był „**DRUGI GARNITUR**”

pod kierownictwem Adama Nowaka. Program tego zespołu został oparty na poezji wieszczów okresu socrealizmu. Został on zaprezentowany w wielu miastach Polski i był bardzo gorąco przyjmowany. Przedstawienie to pokazano również w Krakowie na PACE 88 i otrzymało Grand Prix. Poza tym „Drugi Garnitur” pojechał na „FAME” i zdobył główną nagrodę, „Trójzab Neptuna” oraz indywidualne wyróżnienie w formie jednorazowego stypendium dla Joanny Chudej, aktorki tegoż kabaretu. W 1989 kierownik studenckiego klubu „Gęba” Dariusz Kamys, postanowił zmierzyć się z K. I. Gałczyńskim i wystawić na scenie „**ZIELONĄ GĘS**”

Gotowy program zawitał oczywiście do Krakowa i podczas V edycji PAKI zdobył pierwszą nagrodę. Program bardzo dobry, o którym p. Andrzej Drawicz (nr w temacie „Gałczyński”) powiedział, że tak dobrego przedstawienia „Zielonej Gęsi” nie widział nawet w wykonaniu zawodowych teatrów. Kolejnym programem, tym razem o miłośnicę prezentuje grupę

„LAF, LAF, LAF...”

która przedstawiając swe piosenki na Przeglądzie Piosenki Miłosnej i Erotycznej BLYRWY I AMORY (1987), zdobyła I miejsce oraz nagrodę indywidualną Rektora Akademii Medycznej, dla Remigiusza Kota (komplet pościeli). W roku 1989 „Formacja Zaś” otrzymała bezdyskusyjnie główną nagrodę FAMY, „Trójzab Neptuna”. To już drugi w kolekcji.

I tak oto doszliśmy do 1990 roku i najmłodszego dziecka „Formacji”, Teatru Absurdy „**ZZZZZ**”

w skład którego, wchodzi studenci młodszyc lat zielonogórskiej WSP. Program oparty na pastiszu teatru. Na pytanie skierowane do reżysera tego spektaklu: Dlaczego napisał to dzieło, odpowiada: „Musiałem, wierci mi musiałem”. I bardzo dobrze. Program ten został uhonorowany I nagrodą na Przeglądzie Kabaretów Amatorskich PAKA 90, o czym wspominałem na początku. Po tej długiej, ale chlubnej wyliczance, chciałbym uprzejmie donieść, że to jeszcze nie wszystko co ma do zaprezentowania „Formacja”. Otóż organizowane są imprezy o charakterze happeningowym. Chociażby tradycyjny 8 marca na deptaku i coroczne Bachanalia. Z okazji dnia Wojska Polskiego odbyła się Bitwa pod Grunwaldem w paradnych strojach, zakończona jednym wielkim krzykiem o pokój (najlepiej dwa, z kuchnią). W ramach „Formacji Zaś” Dariusz Kamys przygotował spektakl pod nazwą „lata

tak byto

„Gazeta Lubuska” w stanie wojennym

„Nadzwyczajna konieczność” — Z. Grzyb,
17.12.1981

„Stan wojenny stał się koniecznością... Po zagrywkach fałszywymi kartami ekstremiści zaczęli jawnie realizować swój kontrrewolucyjny program. Z Lublina, Warszawy, miast Wybrzeża wyruszyli w Polskę emisariusze, by organizować bojowe drużyny. Do związkowych powinności zaliczono kucie kos, robienie kastetów i palek, oznaczanie mieszkań członków partii, oficerów milicji i wojska. W różnych częściach kraju pojawiły się umundurowane bojówki z odznakami KPN. Bujak w Warszawie straszyl, że lada dzień zajmie Radiokomitet, gdyż w przeszłości popełniono błąd nie opanowując radia i telewizji. Sobieraj w Radomiu przygotowywał siłowe rozwiązanie konfliktu na miejscowej WSI. W Łodzi ogłoszono 20 grudnia „czerwoną niedzielą dla czerwonych”. Podsycano psychozę strachu, rosło napięcie. Dzieleno już skórę na nie odwiedzi — przygotowując się do objęcia wysokich stanowisk w „ich państwie”...

Władze musiały — by nie dopuścić do stawiania barykad, bratobójczych walk, samosądów, niszczenia naszego wspólnego dorobku — podjąć zdecydowane działania przeciw siłom ekstremalnym. Okiełznać je, byśmy w społecznym pokoju i poczuciu bezpieczeństwa mogli wszyscy pracować nad wyprawieniem kraju z kryzysu...

„Od początku było grane” — Z. Grzyb,
21.12.1981

„Cóż łączy z ludźmi pracy panów Michnika, Kuronia, Modzelewskiego, Geremka, Ruliewskiego i dziesiątki innych wodzów nielegalnej opozycji politycznej? Nic, zupełnie nic, zarówno gdy bierze się pod uwagę ich klasowe pochodzenie jak i cele, które chcieli osiągnąć. A cel podstawowy to było zdobycie władzy cudzymi rękami, obalenie ustroju, do którego rego żywią nienawiść. Bez względu na cenę jaką miał za to zapłacić naród, bez względu na międzynarodowe reperkusje... i postawienie pod znakiem zapytania naszej niepodległości. W instrukcji pisali więc twardo, jak w wojskowym rozkazie: „Formami walki zbrojnej winny być akty terroru, napady, mordy, porwania, sabotaż”.

„Święcono bojowców KPN w Lublinie, przygotowywano broń, składy żywności i me dykamentów. Wielkie zakłady przemysłowe chciano przemienić w twierdze oporu przeciw legalnej władzy. Tworzono własne oddziały bojowe, wzywano żołnierzy i milicjantów do dezercji.

Gdy zapoznają się z tymi potwornymi w bezwzględności wobec bliskich, sąsiadów, społeczeństwa koncepcjami, ogarnia mnóstwo wątpliwość, czy są one dziełem ludzi rozumnych, czy utopistów, a raczej strażników i zbrojnych ców. Bo przecież nikt przy zdrowych zmysłach nie powie dziś, że władzę w jakimkolwiek kraju Europy można tak sobie zagarnąć. Przecież ci ludzie zupełnie nie docenili zarówno układu sił politycznych w naszym kraju jak i geopolitycznego położenia Polski. Liczyli widocznie, że władza podniesie rączki do góry i da się zamknąć w rezerwacie...

„Wodzowie są nadzy” — Marian Swierczyński,
5.01.1982

Zastanawiam się, czy Polska miała w swej historii taki urodzaj kandydatów na wodzów, jak w okresie minionych kilkunastu miesięcy... Niemal każdego dnia ogłaszano powstanie jakiegoś nowego ugrupowania, ba — partii politycznej... Wszystkie te grupki i partycjki pchały się pod parasol „Solidarności” związku, niezależnie od jego narośli, w swym tronie robotniczego, chociaż miały one w istocie rzeczy w swych mętnych założeniach koncepcje antyrobotnicze... wszystkie zasadyły swą politykę na hasłach antykomunistycznych i antyrządzieckich, co naturalnie równało się odrzuceniu socjalizmu w jakiegokolwiek jego formie.

To także dość ciekawe zjawisko, świadczące o politycznym niedoświadczeniu owych wodzów kacyków. Przecież każdy kto w tym kraju żyje, nie może nie zauważyć, że zdecydowana większość społeczeństwa w istocie rzeczy socjalizm akceptuje...

Teraz Lech Wałęsa jest w Warszawie. Obsługuje go kelner, ma telewizor i radio o trzymuje prasę, odwiedza go żona. O czym ten człowiek myśli? Może o tym, że zepsuł taki śliczny zegarek, jakim w swych pierwszych dniach była „Solidarność” a może o tym, że niepotrzebnie pozwalał się tym zegarkiem bawić innym? Może nam to kiedyś powie... A może to już powiedział swojemu spowiednikowi, bo księża odprawiają mu przy watne msze, chociaż jego świecznik stracił blask przy ostrych jupiterach brutalnych faktów, jakie przyniosła historia ostatnich dni.

„Psoty i swawole w stanie wojennym” — Z. Szydłowski,
19.05.1982

„Salony szepcacy i nawiedzonych wypychają młodzież na rozmaite uliczne psoty i swawole — mówiąc najogólniej — przeciw socjalistycznemu porządkowi w kraju, a konkretnie — przeciw stanowi wojennemu proklamowanemu w obronie tegoż socjalizmu...”

Śmiech pusty człowieka ogarnia, a potem litość i trwoga, chociaż śmiać się nie ma za bardzo z czego.

Ten kolosalny wyglup, któremu inspiratorzy i prowokatorzy nadają rangę politycznego protestu — i to kierowanego przez zorganizowane siły opozycyjne, może uczynić poważne szkody w świadomości pokolenia młodego i najmłodszego. Udział w takim wyglupie jest nie tyle może manifestacją przeciw socjalizmowi, ile zżnaczeniem swojej inności i — powiedzmy — niezależności. Kosztuje przy tym niewiele — grzywnę, którą mamusia zapłaci za „niezależną działalność opozycyjną” synusia.

Droga po rozum do głowy ciągle jeszcze wiedzy zakrętami pod górę, choć mamy już szósty miesiąc stanu wojennego. Nie furia i nawiedzeni prostować będą tę drogę, to pewne.

„Handlarze Niderlandami” — Marian Swierczyński,
4.06.1982

Niedawno telewizja nasza nadała fragmenty wypowiedzi jednego z ekstremalnych działaczy „Solidarności”, ongiś kierowcy PKM w Wrocławiu, pana Frasińskiego, jakiej udzielił amerykańskiej rozgłośni „Free Europa”.

Pan ten, jako jeden ze związkowych prominentów okręgu dolnośląskiego, nie wyróżniał się przed 13 grudnia żadną głębszą myślą. Raz wicepremier Rakowski potraktował go pobłażliwie jako młodego niedouka, kiedy ten coś tam publicznie rozprawiał o systemie totalitarnym... Głośniejszy panu Frasińskiemu stało się — o czym kiedyś wspominałem w „Gazecie” — gdy okazało się, że zlecił on pobranie z banku, tuż przed 13 grudnia, ponad 80 milionów związkowych pieniędzy i ułotnił się z tymi milionami, wraz z innymi dwoma koleżkami, jak sen złoty...

I oto Frasiński udziela wywiadu, stwierdza, że świat szykuje się do zmiany porozumień jałtańskich i w sposób niedwuznaczny powiązał to z interesami swojej podziemnej „Solidarności”. A więc chodzi o umiędzynarodowienie tego, o co walczy pan Frasiński i jemu podobni patrioci.

Co przyniosła Konferencja Trzech Wielkich Mocarstw w Jaltcie (nazywana Konferencją Krymską)? Ustalono tam mianowicie m. innymi kształt granic Polski. Przyznano nam prawo do starych, piastowskich ziem, o które walczyły całe pokolenia patriotów polskich.

To pan Frasiński chciałby zrewidować i jak Zagłoba Niderlandy, sprzedać Śląsk i Pomorze, Szczecin i Wrocław, Zieloną Górę i Gorzów... Komu? No wiadomo, kupiec jest jeden tylko i palcem pokazywać go nie trzeba.

„Nic się temu panu Frasińskiemu nie wypsuje. To wypowiedź programowa. I nie można tego nazwać inaczej jak ZDRADĄ NA RODOWĄ (podkreślenie w oryginale).

No, ale scenariusz może mieć także ciąg dalszy. Niecierpliwi rewizjoniści powiedzą: Jak Polacy nie chcą oddać tych ziem po dobroci, to trzeba zastosować siłę.

Tak, tak, będą przytakiwać Frasiński, my pomożemy, przycisniemy tych opornych od środka...

„Kto komu chce dołożyć i pa ee?” — Z. Szydłowski,
30.08.1982

Patriotyzm, tradycje i symbole walki narodu o wolność i niepodległość stają się ostatnio w rękach zagranicznych i krajowych grup politycznych instrumentalnym narzędziem walki przeciw państwu i porządkowi społecznemu, w którym żyjemy.

Odbywa się ponura gra na uczuciach i wyobraźni młodzieży. Macherzy polityczni, siedząc sobie bezpiecznie za granicą lub w tzw. podziemiu chcą pchnąć tę młodzież przeciw własnemu narodowi...

Zniesienie stanu wojennego w Polsce oznacza dla tych panów wstrzymanie dopływu pieniędzy na ich działalność i w ogóle egzystencji, oznacza zejście ze szpalt gazet, fal eteru.

Obce fundusze na awantury polityczne w Polsce muszą jakoś procentować. Po zniesieniu stanu wojennego strumień pieniędzy na demontaż państwa wyschnie. Więc trzeba ją kość zmusić władzę, żeby utrzymywały stan wojenny. A można to zrobić wyprawdzając ludzi na ulicę, prowokując interwencje, wywołując zamieszki, których następstw nie sposób przewidzieć...

Ludzie mają swój rozum i wiedzę, jak oddzielić plewy od ziarna. Jest jeszcze instynkt samozachowawczy narodu... Niestety, prowokacja trwa.

PS.. Sam Zbigniew Bujak nie może jakoś przezwyciężyć strachu i z ukrycia zachęca ludzi do awantur...

Wybrał EJM

DEMOKRACJA PO SZWEDZKU

KORRESPONDENCJA WŁASNA „GN” — CZĘŚĆ DRUGA

W ostatnią środę kwietnia po południu przed miejskim hotelem w Alingsas zebrał się spory tłumek z transparentami. Grupa młodzieży na rowerach, matki z małymi dziećmi, sporo osób w podeszłym wieku. Przyniesli działacze Grupy Ochrony Środowiska, przyszedli członkowie Partii Zielonych i ludzie spoza wszelkich ugrupowań.

Zebrał się na pół godziny przed rozpoczęciem comiesięcznego posiedzenia rady gminnej. Miejscowi politycy, chcąc wejść a salę obrad, musieli porozmawiać z demonstrantami. Z uśmiechem, na luzie, ale jednak...

Tym razem na porządku debaty gminnej znalazła się sprawa starego browaru, wywołująca od pewnego czasu emocje. Obywatelka chcąc, by stary nieczynny browar gmina wyremontowała i aby w tym zabytkowym obiekcie urządziła ośrodek kultury. Gmina twierdzi, że nie ma pieniędzy.

Anneli Bjorklund, doktor socjologii z Wojewódzkiego Zarządu Muzeów na swoim transparentie napisała: „Europa Nostra”, Maste Kosta („Europa Nostra” musi kosztować). Anneli zawodowo i społecznie opiekuje się zabytkami i wraz z innymi chce zmobilizować władze do męskiej decyzji. Skoro Alingsas za ochronę zabytków otrzymało w 1984 roku prestiżowy medal „Europa Nostra”, niech i teraz stanie na głowie i uratuje stary browar.

Obecność obowiązkowa

Po wejściu na salę obrad radni siadają na wyznaczonych miejscach. Przed każdym fotelkiem jest tabliczka z nazwiskiem. Od razu widać, kogo nie ma. Na początku jurysta miejski odczytuje, tak jak nauczyciel w klasie, listę. Na miejsca nieobecnych zgłaszają się inni politycy z tej samej partii. Rada obraduje w pełnym składzie. Polecam ten sposób przysyłajmy naszym samorządom.

Pełnomocnicy obywateli (tak tutaj nazywa się członków rady) przed każdym posiedzeniem przygotowują stanowisko swojej partii, uzgodnione wcześniej w oparciu o materiały przygotowane przez zarząd. W kolejnych punktach porządku dziennego stanowisko danej partii (w gminie Alingsas jest ich siedem) przedstawia wyznaczony wcześniej członek rady. Jeśli podczas debaty ujawniają się nowe okoliczności, politycy muszą od nowa omówić je na forum swojej partii. Dlatego podjęcie niektórych decyzji trwa bardzo długo. Uciążliwy dla polityków system szwedzkiej demokracji w sumie jednak wychodzi miastu na dobre, co w Alingsas widać na każdym niemal kroku.

Gmina sprzedaje

Dziś, nie po raz pierwszy na gminnej wotacji staje reprezentacyjny Hotel Scandic, który jest własnością gminy, ale nie przynosi spodziewanych dochodów. Owszem, spełnia rozmaite funkcje publiczne, jest czymś w rodzaju symbolu. Sentymenty, sentymentami, ale sprzedać trzeba, tym bardziej, że znalazł się kupiec oferujący 22 miliony koron. Być może po sprzedaży miasto będzie miało większy pożytek, bo nowy właściciel będzie płacił podatki. Takie jest stanowisko partii Centrum wyrażone przez Uno Wengholma. Rune Hedberg, komunista, podsumowuje debatę nad hotelem: medytowaliście sprzedać — nie sprzedać przez sześć lat. Po co? Tę decyzję można było podjąć w ciągu tygodnia. Teraz musicie znaleźć sobie nowy problem... Przewodniczący pyta: kończymy dziś sprawę hotelu? Jo, odpowiadają chórem radni. Potem kolejno, według listy głosują. Przewodniczący odstuka je drewnianym młotkiem koniec tematu. Hotel został sprzedany.

Beznadziejne finanse

Alingsas, jak już pisałam, sprawia wrażenie miasta zasobnego. Tu słyszę: finanse gminy są tak beznadziejne, że, być może, trzeba bę-

dzie zwalniać ludzi z różnych służb gminnych. W ubiegłym roku po raz pierwszy w budżecie pojawił się deficyt — około 9 milionów koron. To coś nowego i trudno się przyzwyczaj — mówi przewodniczący, bo zawsze Alingsas miało 9 milionów koron nadwyżki.



Przed sesją burmistrz musi wysłuchać demonstrantów

Miasto musi wydawać coraz więcej pieniędzy na szkoły, drogi, na opiekę socjalną. W tym roku gmina podniosła o 2 korony podatek (od każdego zarobionego 100 koron płaci się tutaj 33 korony podatku!) i mimo to w kasie brakuje pieniędzy.

Burmistrz Lage Ahlstrom proponuje przekroje gminnego garnituru. Alingsas musi spuścić z tonu. Socjaldemokraci twierdzą co innego. Wydatki na wsparcie różnych grup społecznych trzeba zwiększyć, pieniądze muszą się znaleźć. Nie można oszczędzać na starcach i dzieciach. Standard musi być utrzymany. Moralnym obowiązkiem polityków jest dbać o obywateli. Socjaldemokraci podpowiadają, skąd wziąć pieniądze. Miasto uzyskało ze sprzedaży domów i placów więcej funduszy niż przewidywano.

Anita Broden z Partii Ludowej nie zgadza się. Chcąc dogodzić wszystkim, gmina będzie musiała zaciągnąć wysoki kredyt, a kredyt drogo kosztuje. Politycy muszą czasem powiedzieć: stop, choć to niepopularne.

Socjaldemokraci pytają: co się stało kolegom z prawicy? Kiedyś mieli takie zdanie, jak my.

W Alingsas rządzi prawica. Partie konserwatywne: Moderaci, Centryści, Ludowcy i Chrześcijańscy Demokraci w sumie mają większość mandatów. Socjaldemokraci (choć wygrali wybory jako partia) razem z Komunistami i Zielonymi są tutaj w opozycji.

Centryści przypinają łatkę Socjaldemokratom: dlaczego jesteście dzisiaj kwaśni, jak cytryna? Chciecie być Mikołajami, chcecie dzielić pieniądze, których nie macie? Trzeba to powiedzieć głośno w sobotę na deptaku. Niech wszyscy usłyszą. Idźcie na przeszkolenie. Dowiedziecie się, że wydatki nie mogą być wyższe niż dochody.

Politycy docinają sobie, nie przekraczając jednak dopuszczalnych reguł. Na co dzień potrafią harmonijnie współpracować — mówi pani Zofia Sieczkowska, Polka, mieszkająca od 45 lat w Alingsas. Pani Zofia jest urzęd-

niczką w ratuszu. Dobrze zna miejscowy pejzaż polityczny.

O budżecie dyskusje toczą się przez cały rok. Utrudnieniem jest inny rok budżetowy państwa (od lipca do czerwca następnego roku) i inny rok budżetowy gmin, pokrywający się z rokiem kalendarzowym. 25 procent środków budżetowych gmina powinna dostać od rządu. Sęk w tym, że przez pół roku nie wie, ile dostanie. Dlatego w kwietniu można robić zaledwie przybliżenia.

Mieszkania dla cudzoziemców

Kolejny problem. Alingsas musi zapewnić mieszkania dla imigrantów politycznych, których zdecydował się przyjąć szwedzki rząd. Władze państwowe uważają, że tę gminę stać na przyjęcie 100 osób rocznie. Tutejsza komuna ma inne zdanie. Jest gotowa umieścić na swoim terenie tylko 60 osób. Miasto przygotowało już 30 mieszkań, w obozach czekają kolejne rodziny. Zarząd gminy chce przeforsować budowę baraków. Uwaga: nie mylić z naszym polskim pojęciem baraku. Szwedzki „barak” ma wysoki standard, mieszkania są 2—3 pokojowe. Jeśli rada zgodzi się na baraki, będzie można szybko załatwić problem.

Socjaldemokraci, Komuniści i Zieloni nie zgadzają się na baraki. Nie twórzmy getta, traktujmy uchodźców tak jak Szwedów, dajmy im porządne mieszkania lub domki w szeregowcu. Tym ludziom trzeba pomóc, przecież nie opuszczali ojczyzny z własnej woli — mówią.

Moderaci i Centryści są za barakami, czyli za prowizorką. W przyszłości i tak trzeba będzie imigrantom dać porządne locum. Chrześcijańscy Demokraci nie chcą dwa razy wydawać pieniędzy. Proponują domki z fabryki, które stawia się w ciągu paru dni.

Katarina Remnero-Odestad (z Moderatów) apeluje: zgódźmy się na baraki, niech ta sprawa, walkowana od lat, wreszcie się skończy. Jest demokracja, ale nie ma mieszkań.

Zarząd prosi o głos. Jeśli będziecie się kląć, w tym roku cudzoziemcy nie dostaną nawet 6 przygotowanych już mieszkań. Jeżeli zgodzicie się na baraki, do końca roku wszystkie mieszkania będą gotowe.

To jest szantaż — mówią Komuniści. Chcacie zamknąć miasto dla uchodźców. Wstyd.

Veto wobec propozycji zarządu zgłaszają również Socjaldemokraci. Przewodniczący stukną młotkiem. Koniec tematu. Sprawa mieszkań dla imigrantów powróci jeszcze na forum rady.

Browar dla miasta

Ostatni punkt: browar. Licznie zgromadzona publiczność, siedząca do tej pory cicho, ożywia się. Jest późno. Sesja rozpoczęła się o szóstej po południu. Teraz jest dziesiąta. Przewodniczący siedzący pośrodku stołu przydłgalnego je kanapki przyniesione z domu.

Z decyzją w sprawie browaru trzeba będzie poczekać — mówi burmistrz. Gmina nie może decydować sama. To jest zabytek, więc i województwo ma coś do powiedzenia. Racje mieszkańców trzeba pogodzić z racjami państwa i zarządu gminy. Gunnar Johansson (młody polityk z Zielonych, mówi się, że ma przyszłość) ostrzega: browar musi pozostać własnością miasta. Musi być zabytkiem i jednocześnie służyć obywatelom. Nie może dłużej stać i niszczeć. Zieloni będą walczyć.

Przewodniczący pyta każdego z osobna: czy zgadza się na odłożenie tematu? Tak, zgadzają się, większością głosów.

LI CYNA MAŁACHOWSKA-GRABOWSKA



Fot. Stefan Rutkowski

PO SPEKTAKLU TELEWIZYJNYM

MAŁGOSIA contra MAŁGOSIA

Z EWĄ NOWACKĄ AUTORKĄ POWIEŚCI ROZMAWIA IRENA BOLEK

IRENA BOLEK — Jest Pani autorką wielu znanych, lubianych i cenionych książek. Myślę, że młodzi czytelnicy bez trudu skojarzą Pani nazwisko z takimi tytułami jak „Ursa z krainy Urartu”, „Śliczna Tamid”, „Biały koń bogów”, „Kilka miesięcy, całe życie”, „Słońce w kaluży”, „Może nie, może tak”, „Dzień, noc i pora nieczyja”, „Szare i złote”. Jeśli nawet ktoś tych książek nie czytał, zaglądał być może do „Świerszczyka”, „Płomyczka” czy „Płomyka”, gdzie drukowane są Pani opowiadania, a już na pewno widział — powtarzany właśnie w tv — spektakl „Małgosia contra Małgosia” oparty na Pani znakomitej książce pod tym samym tytułem. Młodzież zna Panią również z licznych spotkań autorskich. O co najczęściej pytają młodzi ludzie na tych spotkaniach?

EWA NOWACKA — Pytania potrafią być zaskakujące i kłopotliwe dla odpowiadającego. Pamiętam pytanie zadane — całkowicie serio! — przez dociekliwego nastolatka na spotkaniu w wiejskiej szkole: jak wygląda i czym się sygnalizuje zstąpienie natchnienia na pisarza? Bo przecież musi coś się dziać: zapachy, kolory albo pewnie dźwięki obwieszają ten wyczekiwany moment. Może Anioł ze srebrzystymi skrzydłami pochyła się nad maszyną do pisania, może Muza kładzie swe miękkie dłonie na myślącym czole twórcy. — Usiłowałam tłumaczyć, że nigdy nie takiego mi się nie przydarzyło, ani nie czułam upajających woni, ani nie słyszałam pieszczonych głosów niebiańskich opiekunów, ani żaden inny szczególnie znak nie zwiastował, że to już. — Młodzian przyjął wyjaśnienia z niedowierzaniem, a nade wszystko ze sceptycyzmem co do mojej pisarskiej rangi (no, bo skoro widomych znaków brak...), na koniec zaś z uporem Galileusza powtórzył: a jednak Henryk Sienkiewicz to na pewno coś takiego słyszał albo czuł!

I. B. — Czyli pisarz to ktoś wyodrębniony z tłumu zwykłych zjadaczy chleba, natchniony tajemniczym piętnem — owym spływającym nań jak łaska Pańska natchnie-

niem. Czy taką właśnie aurę wyczuwa Pani na spotkaniach z dziećmi?

E. N. — Bez przesady. W równym stopniu w ich pytaniach dochodzą do głosu zdrowy rozsądek i trzeźwy praktycyzm. Bardzo ich np. ciekawi, jaka byłam, kiedy miałam tyle lat co bohaterowie moich książek, czy dobrze się uczyłam, czy robiłam błędy ortograficzne, a może znałam sposób, jak sobie z tą uczniowską zmurą poradzić.

Najbardziej jednak charakterystyczne jest takie oto pytanie: — czy bohaterowie i sprawy przedstawione w księgach są odzwierciedleniem postaci i sytuacji znanych pisarzowi, czy też są to twory imaginacyjne? I trudno tu o jednoznaczną odpowiedź, bo nieprawdą jest że jakaś postać literacka lub sytuacja fabularna rodzi się wyłącznie z zapisu faktograficznego, jak też — że jest czystym odpryskiem fantazji swego twórcy.

I. B. — A co, Pani zdaniem, woli czytelnik: żeby pisarz, powodowany właśnie natchnieniem, wykazywał się nieokiełznaną wyobraźnią, czy żeby cechowała go rzetelna wiedza i dar obserwacji?

E. N. — Tworzenie literatury to umiejętność harmonijnego łączenia obu tych przysposobycji (niektórzy nazywają to po prostu talentem), niemniej młodzież zdecydowanie lepiej, z większą aprobatą przyjmuje informację, że istnieją odpowiedniki osób i faktów powieściowych w bytach realnych. Im kreacja literacka jest bliższa życiu, tym jest lepiej odbierana. Przyczyna takich postaw jest oczywista: w wieku nastoletnim ceni się prawdę i tylko prawdę. Autor książki zatem wie — im bliżej prawdy, tym większa szansa na czytelniczy sukces. A młody człowiek jest czujny; bywa, że przekłamany zostanie jakiś drobiazg w literackiej strukturze — i rzecz cała staje się dlań niewiarygodna. Dlatego i w swojej pracy i w rozmowach o niej z moimi czytelnikami podkreślam zawsze rzetelność i konieczność posiadania bar-

dzo dużej wiedzy o temacie, który podejmuję, wiedzy — faktograficznej, psychologicznej — znacznie wykraczającej poza to, co ostatecznie znajdzie się w książce

Młodzi, szczególnie dziś, są spragnieni prawdy i na dodatek nie bardzo wiedzą, gdzie jej szukać: w rodzinnym domu, w nauce Kościoła, w szkole, w książce, w informacyjnym szumie mass-mediów. Najczęściej jest to wiele różnych prawd. A oni: chcieliby prawdy uniwersalnej, absolutnej. Żądania te są czasem aż brutalne, bojesne, przykre. Zarazem oczekują od pisarza rozstrzygnięć światopoglądowych, częstokroć odpowiedzi na pytania o charakterze politycznym, wypełniania białych plam, odważnego odrzucania tabu — zwłaszcza ideologicznego. Nie zamierzam się od tego uchylać, choć przyznaję — moje książki nie są nasycone dorazną publicystyką. Chodzi mi o coś ważniejszego — i na to w gruncie rzeczy czeka czytelnik. Staram się zbliżyć do tego, co może pomóc młodemu czytelnikowi zbudować jego własny system wartości niezależnych od koniunkturalnych nacisków, co pozwoli mu lepiej poznać samego siebie i odnaleźć swoje miejsce w świecie. Co będzie jakąś jego prawdą wewnętrzną.

I. B. — Dobra książka to: świetny pomysł, ważne treści, frapująca akcja, bogaty język, ale bodaj przede wszystkim — prawdziwy, przekonujący bohater, taki, z którym można się zaprzyjaźnić lub przeciwnie — z którym trzeba się pokłócić. Jaki bohater literacki — czy ten, z którym czytelnik pragnie się utożsamić, czy ten, z którym się nie zgadza — bliższy jest mentalności i oczekiwaniom czytelniczym współczesnych nastolatków?

E. N. — Zakłada Pani, że nasza inteligencja, myśląca, ale i pyskata krytyczna młodzież woli bohatera „trudnego do kochania”. Nie wątpię, choć nie możemy zapominać, że w książce od zawsze szukano — i szuka się nadal — również bohaterów ulubionych, wzorców i autorytetów. Na pewno jednak minął bezpowrotnie czas postaci słodkich i anielskich lub — przeciwnie — czarnych jak otchłanie piekieł. Czyli jednoznacznie i do końca określonych, albo wyłącznie dobrych, albo nieodwołalnie złych. Bo współczesny młody człowiek, nie zamknięty, jak kiedyś w dzieciętnym pokoju z nianią lub boną jako jedynym źródłem informacji o świecie, wie, że czarność nigdy nie jest do końca czarna, lecz ma wiele tonacji. Biel również. No, a z kolei współczesny pisarz ufa, iż przekonany o bogactwie odcieni czytelnik będzie umiał dokonać trafnego sądu nad takim właśnie psychologicznie wielobarwnym, niejednoznacznym bohaterem, oceni go wielopłaszczyznowo. Im bardziej postać literacka jest pełnowymiarowym człowiekiem, z jego cechami pozytywnymi ale i ludzkimi błędami, potknięciami, tym chętniej czytelnik z nią się identyfikuje. I dalej — mając takiego bohatera, który jest „jednym z nas”, pisarz umyślnie stawia go w sytuacji, w którejj musi on pokazać, kim jest naprawdę. Bywa, że sytuacja ta go przerasta, że mu się nie udaje, przegrywa — zatem czytelnik nie będzie mógł za-

Telefony poparcia

(Ciąg dalszy ze str. 2)

lamutne jest zdanie, że majątek RSW został wypracowany przez dziennikarzy i wydawców „GL”. Majątek ten RSW dostało od Państwa, a tym którzy pracowali na „Gazetę” byli przede wszystkim drukarze. Tak było np. w styczniu, kiedy koszt produkcji „Nadodrza” wynosił przeszło 900 złotych, a sprzedawano je po 200.

Nie rozstrzygam moralnego prawa niektórych redaktorów „GL”, szczególnie tych niepiszących, do jej redagowania. Słowo pisane jest jednak trwałe, i chyba z tego założenia wyszli parlamentarzyści, wydając „Oświadczenie”.

ANDRZEJ BUCK

akceptować jego postawy. Ale przecież porażka bohatera nie oznacza klęski artystycznej: często chodzi o to, by z nakreślonej sytuacji-egzaminu płynęły dla bohatera — i dla czytelnika! — jakieś ważne wnioski.

I. B. — A którego z Pani bohaterów literackich szczególnie lubią czytelnicy?

E. N. — Doskonale odbierana jest Małgosia („...contra Małgosia”) dlatego, że choć ubrana w aksamitną suknię z koronkowym kołnierzem i naszywane perłami czółko, jest właściwie typową społeczną nastolatką — już nie korniszon, jeszcze nie ogórek — z mnóstwem przywar: uparta, egoistyczna, samowolna.

I. B. — I dlatego wystąpiła ją Pani w sukurs jej XVII-wiecznej mienniczce, a dokładniej — zamieniła duchowe wnętrza obu bohaterów, wierząc, że współczesna dziewczyna zdecydowanie łatwiej poradzi sobie z sercowymi kłopotami i nie da się potulnie zaprowadzić do ołtarza przez niekochanego (a i wickowego) adoratora. Małgosia ma bowiem cechy osobowości — siłę woli i świadomość własnych pragnień oraz prawa do nich — ukształtowane w XX wieku. A co zyskałaby współczesna dziewczyna, jakaś Beata czy Monika, gdyby w jej opiętą dżinsami powłokę wcieliła się staropolska szlachcianka?

E. N. — Gdybym kiedyś napisała książkę o XVII-wiecznej Małgosi w dżinsach, mieszkającej w mieście przez kilka miesięcy, nie wątpliwie byłaby to książka o tym, jak współczesne wychowanie, holujące intelekt kosztem rozwoju uczuciowego, tłamsi i zabija w dziewczynach kobiecość. Owszem, pozostają pewne zewnętrzne atrybuty dziewczęcości czy kobiecości, np. zainteresowanie modą, nawet pewien w tej mierze snobizm. Gubią się jednak gdzieś takie cechy i wartości jak dobroć, takt, delikatność — i to byłby ów „wkład” Małgosi sprzed wieków do wnętrza duchowego Beaty czy Moniki. One są dużo bardziej przebojowe, agresywne, chciwe życia i jego dóbr i oczywiście lepiej wykształcone. Ale czy przy tym są z czegoś i w coś od ich intelektualnie mniej rozwiniętych, lekliwych wobec życia, skupionych na tradycyjnych wartościach i uczuciach — również sprzed wieków? Nie byłabym tego taka pewna; więcej czuję, że przyjdzie taka chwila, gdy wyemancypowane panie odrzucią odwrót i z ulgą wrócą do tradycyjnej roli kobiety. Tej, która daje miłość, ciepło, spokój, poczucie bezpieczeństwa. I która tego samego oczekuje. Myślę że wówczas już nie będzie potrzebna taka literacka wędrówka dziewczęcych dusz przez stulecia.

I. B. — A na razie — nastolatek przy pulpicie komputera to symbol nowoczesności; nastolatek zaczytany lub z nieodłączną książką pod pachą i głową w chmurach to... szlachetny maniak w stylu retro. Jak zachęcić młodych do książki, skoro jednych kuszą wideo, innych boisko, a wszystkim zatrąwa życie nauka na trzy zmiany i przymus lektur szkolnych?

E. N. — Najwięcej zależy od... rodziców, to oni muszą zarazić książką, poprzez cierpliwe czytanie malcom spowodować, że kontakt z książką stanie się czymś naturalnym. I nieodzownym, bo książka daje możliwość przejścia pewnych etapów dojrzewania do sztuki w sposób harmonijny: od „Sierotki Marysi” do Milana Kundery. Oczywiście, dobra, wartościowa książka artystycznie dojrzała, która w swej wersji dla dzieci jest mądrym przygotowaniem do odbioru wielkiej „dorosłej” literatury. A ta może dać bardzo dużo, może podsunąć podstawowy alfabet sensu życia. Są tacy, którzy odnajdują go np. u Stachury; znam młodych, dla których jest to absolutna Biblia. Dlatego, myślę, książka jako podstawowy przekaz treści kultury niezmiennie pełnić będzie swoją rolę, niezależnie od leż strawnego obrazu zewsząd atakującego — z ekranu kina z wideokasety, z komiksu. A ta rola książki to przede wszystkim za jąć czytelnika, przemówić do jego intelektu, uczucia i wyobraźni. I jeszcze coś: otworzyć przed nim świat, w którym on sam poszuka kluczy do następnych drzwi.

Mdły zapach krewetek

CZESŁAW MARKIEWICZ

Krewetek w Polsce... zasadniczo się nie jada. A już w Szprotawie z całą pewnością nie ma smakozy tego, wpływającego pozytywnie na potencję, morskiego specyfiku. Krewetki uwielbiają natomiast Holendrzy. Miłośnicy tulipanów cenią sobie także porządek, kryształową wodę i czyste powietrze. My, Polacy — za każdego dolara jesteśmy gotowi krwi upuścić, rzeki zawrócić i ziemię przekopać. Niektórzy nazywają to biznesem. Tak to z krewetkowego „biznesu” KTOS wyciąga „kilka” guldenów, a w Szprotawie zostaje smród, solanka, konserwanty i egzemy.

Biznes jest prosty... jak świński ogon. W Spółdzielni Mleczarskiej w Szprotawie pojawia się tzw. właściciel z Warszawy. W zasadzie jest to pośrednik holenderskiej firmy, przysposabiającej małe skorupiaki do konsumpcji. Spółdzielnia Mleczarska ma akurat „na zbyciu” trochę nie trafioną zlewnię mleka, zlokalizowaną za miastem. Dyskwalifikują ją „na dzień dzisiejszy” duże koszty transportu mleka. Na miejscu, już w Szprotawie, jest nie wykorzystana suszarnia. Rynek pracy jest nasycony, są więc chętni do każdej, nawet najgłupszej roboty. Słowem: idealne warunki do zrobienia biznesu.

No i interes nabiera wiatru w żagle niczym... Latający Holender. Przedstawiciel firmy wydzierżawia zlewnię, zleca Mleczarni suszenie odpadów, zatrudnia sto mieszkańców „bezrobotnej” Szprotawy i odkłada oskromną na krewetkową wyzerkę. Przy okazji syn prezesa Spółdzielni Mleczarskiej zostaje kierownikiem zakładu krewetkowego, a dwie panie spółdzielczanki z rachuby mają dodatkową fuchę, wyliczając „obieraczom” krewetek pensje. Holendrzy przywożą zamrożone krewetki w ośmiokilowych torbach z firmowym nadrukiem. Na rampie — sterylność, po holendersku, przystosowanej zlewni — pojawiają się oryginalne, również firmowe skrzynki na „gotowiznę”. Pracownicy, w większości panie, otrzymują zachodnie fartuszki i... czapeczki, również z firmowym nadrukiem. Wygląda to wszystko laboratoryjnie.

Robota jest... murzyńska: z nieco rozmróżnionej krewetki należy ściągnąć pancerz i mięsko odłożyć do niewielkiej kuwetki. Co godzinę majster — nadzorca waży „gotowiznę”, pakuje i wywozi do chłodni. Co jakiś czas przychodzi Holender i odbiera krewetkowe mięso. Za jeden kilogram czystego produktu płaci 3 marki zachodnie. Kobiety uzyskujące ten rarytas dostają za pierwsze dwa kilogramy 6,5 tys. zł, za trzeci i następne 9 tys. Przez osiem godzin można włożyć do kuwetki około 4,5 kg mięsa. Miesięcznie, przeciętne zarobki wahają się od 459 tys. zł do 700 tys. Przy czym powszechniejsza jest ta pierwsza liczba, ale... jedna pani „obrała tych krewetków za miliona”.

Tak więc wszystko jest cacy: wykorzystano zbędne moce, stworzono nowe etaty itd. Pojawili się jednak problemy. Pierwsze to odpady. Tymczasem suszy się je w Mleczarni. Jest z tego wielki smród, na który uskarżają się mieszkańcy okolicznych domów. Wyszuszone odpady Holender również wywozi, chociaż wcale mu się to nie oplaca. Proponowano miejscowym rolnikom przerabianie tego „pancernego.. białka na paszę, ale chłopcy mają swój rozum i z niedowierzaniem podszli do problemu.

Z czasem, w podmiejskiej zlewni, zjawily się kontrole. Badano dokąd odprowadza się zasoloną wodę po wypłukaniu zakonserwowanych krewetek. Tymczasem wylewa się ją

do bezodpływowych zbiorników. W zlewni pojawił się też lekarz i zbadał ręce pań „obieraczek”. U niektórych wystąpiły zmiany uczuleniowe. Także, mimo nieskazitelnej bieli firmowych czapeczek i oryginalności zachodnich skrzynek, jest zwyczajny smród i... wątpliwości.

Szprotawa — jako już samorządne miasto — nie ma dosłownie nic z tych krewetek. Nie ma też oczyszczalni ścieków. Ale to już inna historia. Poza zatrudnieniem stu osób, jedna złotówka nie wpływa do kasy miejskiej. Z pięciu milionów, które wpływają do Mleczarni za suszenie odpadów, tylko dwadzieścia procent to zysk, biednej Spółdzielni. Na miejscu zostaje za to brud, smród i dziwne odczucie kolonialnej najemności polskich kobiet. A marzy się nam przecież majątność płynąca z Zachodu. Jeśli zważymy, że takich krewetkarni jest w Polsce ponad 20, że suszy i oprawia się je także w Zielonej Górze, problem zanieczyszczenia środowiska i ewentualnych chorób, nie będzie z całą pewnością problemem majątnych Holendrów.

Powstają pytania, gdzie będzie się usuwać solankę z konserwantem, gdy wypełnią się bezodpływowe zbiorniki? Są dwie możliwości: rzeki i gleby. Po drugie, czy przedsiębiorcy Holender nie zechce zakopywać na miejscu, w Polsce, wysuszonych, organicznych odpadów? Po trzecie, kto zapłaci za leczenie egzemy, powstałej wskutek kontaktu z krewetkowym rarytasem?

Okazuje się bowiem, że często „zebracze” monity o zachodnie zastrzyki dewizowe, bądź inwestowanie w Polsce, są rzeczywistością i tylko cugie pobożnymi życzeniami. Ale chyba nie tylko o taką współpracę z Zachodem chodzi. Nie demonizując problemu szprotawskiej krewetkarni, jedno jest pewne, mimo czystości, wręcz sterylności „holenderskiej” produkcji, intencje zagranicznych mocodawców nie są do końca czyste. Jakoś nie sposób zgodzić się na wykorzystywanie wyłącznie polskiej siły roboczej. Tym bardziej, że za miesiąc pracy, tu nad Wisłą, wystarczą jednodniowe pobory Holendra wykonującego u siebie identyczną pracę. I nie jest to niezgodą moją, ani polską ksenofobią, czy megalomanią. Biedny ma tylko jedną „rzecz” do ocalenia: jako taką godność. Tymczasem Holendrzy zachowują wysokie konto, czyste powietrze, wodę i głębię, a nam zostaje mdły zapach krewetek, kilka marek i obolale ręce przysposabiające zachodni dobrobyt.

GAZETKA NOWA

NR 1

DZIEŃ DZIECKA

1 CZERWCA

Zostaniemy mistrzami

Ze zwycięzcami Konwaliowego Turnieju Tańca Towarzyskiego rozmawia Maja Raczyńska, lat 10.

MAJA: — Jak tam wrażenia z turnieju? Spodziewaliście się, że wygracie?

MICHAŁ MALITOWSKI I. 10: — My z Iwonką spodziewaliśmy się co najwyżej trzeciego miejsca. Myśleliśmy że jak zwykle Mariusz z Anią wygra.

MARIUSZ MĄDRY I. 11: — Trochę liczyłem, że wygramy, ale Michał i Iwonka są bardzo dobrzy, więc myślałem że będzie ex equo albo dogrywka. A tu oni wygrali „lacinę” czyli tańce latynoamerykańskie, a my standard i było po równo. Cała czwórka pierwsze miejsce.

MAJA: — Skąd się u was wzięło zainteresowanie tańcem?

ANIA SIKORA I. 11: — Pierwszy raz to było tak, że pani Ala Górską przyszła do nas do szkoły i wybierała dzieci. Najpierw tańczyła cała nasza klasa, a teraz, po czterech latach zostaliśmy tylko my z Mariuszem.

IWONKA GOLCZAK I. 12: — Mnie mama zaprowadziła prosto do klubu „Jacek” w Domu Harcerza. Tak się zaczęło 2 lata temu i jest do dziś.

MAJA: — Od razu tańczyliście z Michałem?

IWONKA: — Tak, bo my się znaliśmy z tego samego bloku. Nasze mamy powiedziały, że byłbyśmy dobrą parą w tańcu. I chyba tak jest.

MARIUSZ: A ja nie od razu tańczyłem z Anią. Najpierw z Olą, potem z Agnieszka, a na koniec pani Ala zmieniła i tańczy z Anią.

MAJA: — Czy jako partnerzy często się kłócicie?

MICHAŁ: — My z Iwonką jesteśmy chyba wyjątkową parą. Prawie nigdy się nie kłócimy. No... może czasem, jak się ktoś z nas pomyli w tańcu.

ANIA: — My też się za często nie kłócimy, ale zdarza się. Kiedyś pokłóciliśmy się okropnie i miałam już wszystkiego dosyć. Ale jak przyszła ta godzina, kiedy trzeba było iść na próbę, to wzięłam papercie i pojechałam. Aż mama się śmiała.

MAJA: — Jaki taniec najbardziej lubicie?

MICHAŁ: Sambę. To jest fajny taniec.

IWONKA: — Ja też sambę.

MARIUSZ: A ja walca angielskie

go.

ANIA: — Ja też walca.

MAJA: — Ale się zgadzacie!

MICHAŁ: — Bo nam się razem

fajnie to tańczy.

MAJA: — Czy oprócz tańca macie jeszcze jakieś inne zainteresowania?

MICHAŁ: — Jak się robi jedno, to nie ma co się zabierać za coś innego, jak się chce być dobrym.

ANIA: — Mnie się bardzo podoba jazda konna, ale nie jeżdżą, bo nie mam na to czasu.

IWONKA: — Ja chodzę na angielski i od czasu do czasu gram w tenisa z koleżanką.

MARIUSZ: — A ja jeszcze oprócz tego plywam i gram w tenisa.

MAJA: — Ojej! Nie czujesz się zmęczony? Jakbyś musiał, to z czego byś zrezygnował?

MARIUSZ: Z tenisa. Chyba.



Iwonka i Michał



MOJA MAMA
Rys. ALA GRABOWSKA



Rys. OLA WIĘCKOWICZ, LAT 7

Wiadomości

1. Z lasu uciekł wilk z dwoma rybkami.
2. Biedronka przetrwała regularnie 2 kropki.
3. W uchu mamy przesyłały wszystkie ucha.
4. W Japonii w każdym domu jest 100 lamp.

Sport

1. W lesie odbyła się olimpiada dla zwierząt.
2. Dwie wygraty mecz w koszykówkę z dorosłymi.

Pogoda

1. Jutro zamiast deszczu będą padły łowcy.
2. temperatura -10°C +100°C

Oprac. ASIA PATALAS, LAT 8,5



Rys. DOROTA MICHORZEWSKA, LAT 14



AGA KULBICKA, LAT 16 w szkicu Adama B.



Tytuł: Pięć lat 8.

PIOTREK KULBICKI, LAT 8



Ania i Mariusz

Rys. MARTYNA KRUTULSKA, LAT 4



Rys. MARYSIA GAJDA, LAT 7,5



Zostaniemy mistrzami

MAJA: — A czy to wszystko nie przeszkadza wam w nauce?

IWONKA: — Ja mam same piątki.

MAJA: — Jak ty to robisz?!

IWONKA: — Hm, jestem chyba zdolna. Nie muszę tyle wkuwać.

MICHAŁ: — Ja mam z polskiego czwórke.

ANIA: — A ja mam tylko dwie.

MARIUSZ: — Ja mam więcej, ale nie jest tak źle.

MAJA: — Byliście już na wielu turniejach tanecznych. Który przeyliście najbardziej?

MICHAŁ: — Ja ten w Czechosłowacji. Zajęliśmy tam pierwsze miejsce w „Jacinie” i to było dla mnie wielkie zaskoczenie. Pomyślałem sobie wtedy, że chyba jestem w tym niezły.

ANIA: — Mnie się najbardziej podobało na turnieju w Danii. Może dlatego, że to był mój taki pierwszy poważny wyjazd za granicę. Nigdy bym się nie spodziewała, że pojdzie nam tak dobrze, że zajmemy pierwsze miejsce.

IWONKA: — A ja długo będę pamiętała turniej w NRD, chociaż nie zajęliśmy tam żadnego miejsca. Ale poznaliśmy wielu fajnych kolegów i koleżanek z różnych krajów. Nauzyli nas fajnych zabaw i gier.

MARIUSZ: — Mnie się podobało w Moskwie. Tam występowała jedna świetna para. Baliśmy się, że będą od nas lepsi, ale w końcu my wygraliśmy.

MAJA: — Czy czasem nie macie dość tego tańca? W końcu to są próby trzy razy w tygodniu. Sama wiem ile się trzeba napocić, żeby dobrze wyszło, żeby się nogi nie pętały.

MICHAŁ: — Ja miałem taki okres, że już nie chciałem tańczyć. Wolalem kolegów, jakąś piłkę...

MARIUSZ: — Ja też kiedyś chciałem przerwać. Ale już nie chce.

MAJA: — Pani Ala byłaby przykro. W końcu sporo się z wami namęczyła.

IWONKA: — Pani Ala jest fajna. Nigdy na nas nie krzyczy. Chyba w ogóle nie umie.

ANIA: — Na mnie raz nakrzyczała. Ale miała rację, bo ja nic nie pojmowałam tego dnia.

MICHAŁ: — Pan Wojtek też jest fajny. On też nas uczy. On i pani Ala lubią dzieci. My dobrze o tym wiemy.

MAJA: Dziękuję za miłą rozmowę.

KONKURS:

Czy znasz bohaterów komiksów?

Rozwiązanie prosimy nadsyłać do redakcji „Gazety Nowej” w terminie do 10 rzerweca. Nagroda: 50 tys. złotych.

PROONUJE TOMEK STANGLEWICZ, LAT 10



NASZ CZŁOWIEK W DUBAJU

MIECZYŚLAW WIĘCKOWICZ

Przyjechał do Zielonej Góry w ubiegły czwartek, a już następnego dnia znalazł trochę czasu dla dziennikarza „Gazety Nowej”. Legenda lubuskiej lekkoatletyki, EDWARD CZERNIK, od kilku lat mieszka i pracuje w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Do Polski wpadł na dwumiesięczny urlop. Gdy dowiedział się, że 1 czerwca, pod patronatem Zarządu Regionu „Solidarności” i „Gazety Nowej” odbędzie się lekkoatletyczny miting otwarcia sezonu, obiecał swoją obecność na nim.

— Jak się panu pracuje w tym egzotycznym dla nas kraju?

— Jestem głównym trenerem lekkoatletycznej reprezentacji Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Koordynuję pracę trenerów klubowych, a sam prowadzę także tyczkarzy oraz biegaczy na 400 i 800 metrów.

— Ten kraj nie zalicza się jednak do lekkoatletycznych potęg...

— Gdy przyjechałem do Dubaju najlepsi skoczkowie Emiratów osiągnęli wyniki w granicach 170 cm. Jeśli uparłbym się, to chyba też tyś skoczyłbym... Poźniej poprawili się o jakieś 20 centymetrów.

— Osiągają więc tyle, co najlepsi skoczkowie województwa zielonogórskiego...

— Nie było mnie dość długo w kraju, więc nie bardzo orientuję się jaki jest poziom lekkiej atletyki w naszym regionie.

— Powiem panu, że raczej średni. Seniorów prawie nie ma wcale, a i juniorów wybitnych jakoś nie widać. Ale pomówmy jeszcze o panu. Jak pan trafił do Dubaju?

— Jako trener reprezentacji skoczków, byłem z nim, na mistrzostwach świata juniorów w Atenach. Tam zwrócili się do mnie przedstawiciele federacji lekkoatletycznej Emiratów z propozycją pracy. To był nasz pierwszy kontakt. Jako ciekawostkę dodam, że ówczesny mój podopieczny, Artur Partyka, dziś halowy mistrz Europy seniorów, za jął tam szóste miejsce. Wygrał rekordzista świata, Kubańczyk Sotomayer z Partyką pracowałem w kadrze przez dwa lata i mam drobną satysfakcję, że dołożyłem swoją cegiełkę do wyszkolenia czołowego skoczka świata. Gdy ostatnio osiągnął on w Japonii wynik 2,33 m, ja zbierałem w Dubaju gratulacje...

— Raczej nie zanoszą się na to, iż w Emiratach wychowa pan drugiego Partykę...

— W tym klimacie, przy ich mentalności i warunkach fizycznych, jest to po prostu niemożliwe. Nie uwierz pan: oni bardziej cieszyliby się ze zwycięstwa w Igrzyskach Zatoki Perskiej niż z medalu mistrzostw świata. Gdy podczas ostatnich Igrzysk przełajowej Emiratów zdobyli brązowe medale, radość była ogromna.

— No ale w rozpoczynających się niebawem piłkarskich mistrzostwach świata wystąpi zespół Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Nasi zobaczą Mondiale w telewizji...

— Piłka nożna jest w tym kraju zdecydowanie sportem numer jeden. Dalej pod względem popularności idą gry zespołowe, pływanie, kolarstwo i dopiero lekka atletyka.

— O piłce Emiratów było u nas ostatnio głośno po nominacji Bernarda Blauta na trenera reprezentacji. Nie naciszył się on jednak długo tą posadą. Czy zna pan kulisy dymisji Blauta?

— Znam, bo utrzymuję z nim bliski kontakt. Przede wszystkim, wbrew temu co pisała polska prasa, Blauta nie wyrzucono z posady. Widziałem jego pisemną rezygnację z tej funkcji. O co poszło? Otóż miał swoją własną koncepcję przygotowań do Mundialu: obóz w Europie, a następnie gry kontrolne z



Edward Czernik i jego podopieczni podczas treningu

Fot. Archiwum

silnymi rywalami. Jak już mówiłem, dla Arabów najważniejsze są jednak rozgrywki o Puchar Zatoki Perskiej. Zmusili go niemal, by grał w tej imprezie. Po porażce z Kuwejtem 1:6, Blaut nie wytrzymał tego wszystkiego i złożył rezygnację. Oni najpierw jej nie przyjęli, bo nie mieli następcy. Dogadali się w końcu z Brazylijczykiem Carlosem i on przygotowywał ich w ostatniej w fazie do Mundialu.

— Czy Blaut wrócił do kraju?

— Nie, do pracy w jednym z klubów Emiratów. Tam zresztą pracował przed objęciem funkcji selekcjonera.

— Nie jesteście jedynymi szkoleniowcami z Polski zatrudnionymi w Emiratach.

— To prawda, choć rotacja jest duża. Wyjechali do kraju Majonek i Kuchta (piłka ręczna), także Świątek (koszykówka), przyjechał natomiast Kulesza (piłka nożna). Ja współpracuję z Homziukiem a w jednym z klubów pracuje również Makles.

— Jakie narodowości reprezentują inni trenerzy?

— W koszykówce jest sporo Amerykanów, w piłce nożnej — Brazylijczyków i Argentyńczyków, w pływaniu — Egipcjan. Pracowało też wielu Jugosłowian, którzy ostatnio wracają jednak do kraju.

— Jak wytrzymuje pan w tym ciężkim klimacie?

— Przyznam, że nie znoszę dobrze upałów. Z domu wychodzę praktycznie tylko rano i wieczorem. W największe upały staram się prześladywać w klimatyzowanych pomieszczeniach.

— W tych warunkach trudno chyba intensywnie trenować?

— Tak, dlatego wiele zgrupowań odbywa się poza granicami kraju. Na przykład niedawno ponad dwa miesiące spędziliśmy w Kanadzie. Moi zawodnicy byli bardzo zaskoczeni, gdy we wrześniu spadł tam śnieg. Trzeba było biegać po sklepach i kupować ciepłą odzież. Byliśmy także na zgrupowaniach na Węgrzech, w Jugosławii i w innych krajach.

— A w Polsce?

— Właśnie, mój przyjazd do kraju nie wiąże się tylko z urlopem. Szukam ośrodka, w którym lekkoatleci Emiratów mogliby odbyć zgrupowanie. Chcę zajrzeć do Spawy i także do Drzonkowa.

— Czy pańscy podopieczni są wymagający, jeśli chodzi o warunki, w jakich trenują i mieszkają?

— Główny problem to wyżywienie. Oni je dają z mięsa tylko baraninę i drób. Nie wiem,

czy w Spale lub Drzonkowie można spełnić ich wymagania.

— Chyba nie jest trudno utrzymać dyscyplinę wśród ludzi głęboko wierzących, kierujących się w życiu surowymi regułami religii...

— Rzeczywiście. Chcę wyznać panu, że ta kłama zupełnymi świętoszkami to oni nie są. Związczą, gdy opuszczą granice swojego kraju...

— Jakie wyniki osiągają najlepsi lekkoatleci Emiratów?

— Mam niezłą sztafetę czterystumetrowców, biegających w granicach 48-49 sekund każdy. Tyczkarze skaczą po 4,30 m. Oszczepnik najlepszy rzuca w granicach 60 metrów, młociarz — 48 metrów. Wyniki są oczywiście słabutkie, ale widzę, że oni zaczynają rozumieć ideę sportu. Jeżdżą po świecie, obserwują innych i uczą się.

— Chciałbym pana zapytać jeszcze o smutną sprawę. Ostatnio zginął w Emiratach nasz utytułowany pilot, Witold Świadek. Czy zna pan szczegóły tej katastrofy?

— Nie wiem co było bezpośrednią przyczyną tragedii. Wiem natomiast, że Świadek latał krytycznego dnia „Cesną” takim samym samolotkiem, jakim Rust wylądował na placu Czerwonym w Moskwie. Musiało się zdarzyć coś nieprzewidzianego, bo przecież to był znakomity pilot.

— Kiedy zobaczymy pana znów w Polsce?

— Tęsknimy do kraju. Popracuję chyba jeszcze rok i wracam.

— Dziękuję panu za rozmowę i do zobaczenia na naszym mitingu.

Znam człowieka, który do prezesa Polskiej Partii Niepodległościowej, p. Romualda Szeremietiewa, zwraca się per „panie premierze” w nadziei, że jeśli p. Szeremietiew zostanie premierem, zrewanżuje się podlizuchowi stanowiskiem ambasadora gdzieś na Zachodzie.

Na własne uszy słyszałem, jak p. Janusz Korwin-Mikke, szef Unii Polityki Realnej, chwalił się, że ma skompletowany „gabinet cieni”, zaś na moje pytanie (oczywiście żartowałem), czy może ma wolny etat dyrektora departamentu, z powagą odpowiedział, że w takich sprawach powinienem zwracać się do jego ministrów.

Z rozbawieniem przeczytałem artykuł agitacyjny w tygodniku Konfederacji Polski Niepodległej „Opinia” w którym namawia się do głosowania na kandydatów centroprawicy, bo „jutrzejsi KPN-owscy radni pojutrze będą posłami, czy ministrami. A w takich sytuacjach interes samorządów lokalnych może tylko zyskać”.

Rozumiem, że głównym interesem każdej partii lub ugrupowania politycznego jest udział w sprawowaniu władzy, poprzedzony zwykle tzw. walką polityczną. Tak, tylko powinny stawać do niej partie silne, z ugruntowanymi wpływami w społeczeństwie i sensownym programem. A już czystą groteską wydaje się taka „walka polityczna” w której największymi ambicjami i wojowniczością charakteryzują się „partie kanapowe”, złożone z prezesa, dwóch zastępców, skarbnika, który nie ma nic do roboty, kilku członków i kilkunastu sympatyków (zwykle młodocianych członków rodzin oraz ich kolegów ze szkoły). Przy byle okazji podnoszą one wrzask, że polska demokracja to „nowy totalitaryzm”, bo „nomenklatura”, „neokomunizm” dyskryminujące zasady dostępu do środków przekazu itd. Tymczasem jest zarzut ostatni, bo reżim się tym panom, że gdyby mieli możliwość „przemawiania do narodu”, ich sytuacja, prestiż, rola zmieniłyby się diametralnie.

Wśród partii z opozycji pozaparlamentarnej,

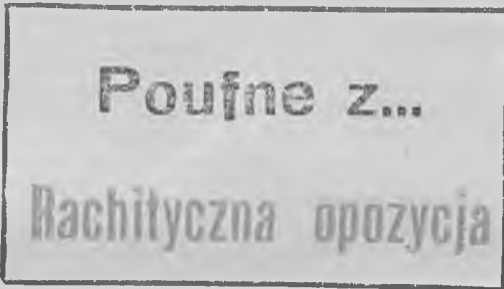
Moim najsilniejszym chyba moskiewskim wrażeniem — w miejscowym języku wpięciatleniem — pamiętnym i trudnym do przeczytania, było pierwsze bliskie spotkanie z architektonicznym majstersztykiem na Kofelnickiej Nabiereieżnej, rodzonym bratem naszego słynnego Pałacu Kultury i Nauki, primo voto Stalina. Spędziłem w nim kiedyś całych pięć dni jako gość Wołodii Siemionowa, kompozytora estradowych hitów.

Bydunek ten nie jest poświęcony, jak ten nasz warszawski, nauce i kulturze, lecz służy zaspokojeniu potrzeb komunalnych. Wydało mi się niezwykle, zwłaszcza kiedy sobie pomyślałem ile w takiej wieży Babel jednocześnie się pije, albo ile par naraz, chociaż rzecz jasna na ogół oddzielnie, przystępuje do spełniania małżeńskich powinności między 19.30 a 22.00, kiedy w telewizji dają dzieńnik Wriemnia i filmy o rewolucji. Jaką rzekę towarów ze sklepów na parterze moloch pochłania i jaką rzekę odpadków z siebie wydala. I jak głęboko tkwi sens tego, aby tak się działo. Podobno mieszkało tam kilku słynnych twórców, pisarzy czy reżyserów, a nawet, w swoim czasie, sama Tierieszkowa.

Pałac zafasycynował mnie od pierwszego wejrzenia. Oslupiałem patrzyłem na pionny mknące nierozumnie w niebo, na kondygnacje wprawione w ruch jakąś tajemniczą siłą, porywającą masy kamienia w górę i strzelającą w stratosferę poślaczoną iglicą. Był jak toporna rakieta Ciolkowskiego, która nigdy nie oderwie się od klepiska stodoły. Brak uznania dla architektonicznego geniuszu Stalina pogłębił się, kiedy nocą wszedłem po ciemku do wspólnej, komunalnej kuchni. Chrząst i chrupanie pod stopami to była szeszcząca zagłada setek tarakanów wypelzających w celach konsumpcyjnych z rury zsympu na śmieci, umieszczonej pod zlewomywakiem. „Co się gapisz, no, co — nastawał zaczepnie Wołodzia — tak, jestem z tego dumny, słyszysz, dumny jestem i z tego”. Trzeba przyznać, że tarakany nie były zbyt uczęli-

w której znaleźć można np. Klub Zachowawczo-Monarchistyczny, Partię Konserwatywną, kilka Stronnictw Narodowych, skupiających garstkę „prawdziwych Polaków”. Stronnictwo Wierności Rzeczypospolitej, czy takie cudeńko jak Polska Partia Dobrobytu, najgłośniej hałasują Konfederacja Polski Niepodległej, Leszka Moczulskiego i Unia Polityki Realnej, Janusza Korwina-Mikke.

KPN z uporem twierdzi, że jest „gotowa do przejęcia odpowiedzialności za gmi-

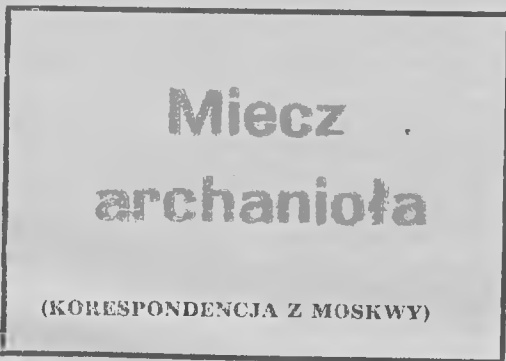


ny, miasta i cały kraj” i „jest to obecnie jedyna alternatywa, która może wydobyc Polskę z bagna, w jakie wpełchnęły nas dziesięciolecia panowania lewicy”. Szczerze mówiąc, nie znam programu gospodarczego Konfederacji, a nie wynika to z mojego lewistwa czy braku dostępu do odpowiednich ośrodków i wizji. Kiedy jednak poznałem stanowisko lidera partii w tej kwestii (brzmi ono tak: „Prowadzenie takiej gospodarki, która nie będzie powodowała konfliktów między społeczeństwem a rządem, lecz wręcz przeciwnie, umocni wzajemne zaufanie i pozwoli wspólnie sprostać trudnym obowiązkom ratowania gospodarki narodowej”) uznałem, że na belkot w tym stylu szkoda czasu.

Z kolei Janusz Korwin-Mikke wslawił się ostatnio petycją do prezydenta, żeby rozwiązał parlament i zarządził nowe wybory. P. Janusz liczył pewnie na to, że tym razem uda mu się zdobyć mandat poselski, chociaż

we, wystarczyło przed wejściem do kuchni zamknąć oczy i zapalić światło, a po kilku sekundach szaleńczej krzątaniny nie było już widać ani jednego. Tarakany respektowały także granice stref interesów i nigdy nie za-chodzily na pokoje, czasem tylko jakiś roz-targniony osobnik trafiał się w wannie, skąd delikatnie przenosiło się go do muszli klozetowej, gdzie był wykonywany wyrok.

Kiedy po pięciu dniach znowu ujrzałem pałac z zewnątrz, bo przez cały ten czas Wo-



łodzia krążył po melinach na różnych piętach i nie trzeba było wychodzić, popatrzyłem w górę i stwierdziłem z przerażeniem, że kamienna strzala faluje jak głównia miecza archanioła Gabriela w dzień Sądu. Poczuliem też wyraźnie, że monstrualna fasada przytłacza mnie swoją ponadczasową szlachetnością. Opuściłem oczy, nie mogąc znieść spojrzenia okiennych oczodolów, tudzież pełnego karności rytmu klasycystycznych detali wziętych ze snu szalonego architekta, który pomylił porządkę, konwencje i epoki. Jeszcze teraz widuję ją w snach: toporne nadbudówki, rozchwiane atyki, kanelowane pilastry, wielki porządek, kolosalne lizeny, cała ta marnotrawna dekoracyjność, uswięcona rządowym dekretem. Narożniki flankowały groź-

nie osiągnął tego w poprzednich wyborach, szumnie występując we Wrocławiu jako „polski Reagan”. Poza tym wciąż zarzuca on rządowi, że jest za mało liberalny i otacza obywateli nadmierną troską. W „Czasie” (organie partii) ukazał się np. artykuł pt. „Oplaca się być bezrobotnym”, w którym dziennikarz dowodzi że bezrobotni nie powinni egzystować kosztem tych, „którym się jeszcze chce cokolwiek zarobić” i podaje przykład z Zielonej Góry, gdzie oddział Unii Polityki Realnej zaprosił bezrobotnych (2000 osób, 1600 pobiera zasiłki), aby zainteresować ich „dodatkowymi zarobkami”. Na spotkaniu przyszło 5 osób, więc autor wykrzykuje: „opłaca się być w Polsce bez pracy!”, wyjeżdża z własną oceną sytuacji: „Póki co, bezrobotni otrzymują zasiłki, od ministra Kuronia „biedaupki”, od parlamentu obietnice, a od związków zawodowych słowa pociechy. Prywatyzacja gospodarki natomiast i jej uynkowanie przysięgają wręcz karykaturalne formy, co będzie w krótkim czasie skutecznie odstraszało ludzi od naszych hasel wyborczych i ideologii liberalnej... I zupełnie nie widzi, jaki to zabawny paradoks: Unia Polityki Realnej egzystuje na zasiłku społecznym. Oczywiście w tym „krótkim czasie”...

Myszę, że łatwość z jaką Lech Wałęsa przekroczył plot stoczni, sprawnie przejęcie władzy od komunistów i zaufanie z jakim społeczeństwo przyjęło reformy firmowane przez „Solidarność” sprawia, że byle partia czy ugrupowanie polityczne (a mamy ich przeszło 80) widzi siebie od razu w parlamencie i na samych szczytach władzy. Zamiast skupić się na budowaniu własnych partii i sensownych programów, panowie ekscytują się „grą polityczną”, odbywają posiedzenia „gabinetów cieni” (jeśli wystarcza im ludzi do obsadzenia ministerstw) i wymagają się, intrygują, zawracają głowę „niedostatkami demokracji w Polsce”. I jakby nie rozumieją, że to właśnie brak silnej, dojrzałej opozycji te niedostatki podtrzymuje.

ADAM BIELSKI

ne posągi proletariuszek, grubo ciosanych z piaskowca. Decyzja unifikująca styl państwowego budownictwa i wprowadzająca wzorce proletariackiej monumentalności mnożyła je szcze niedawno te pałace wystające z proletariackiej nędzy, a proletariusze jak weszli po rewolucji do komunalnych mieszkań, tak do dzisiaj, w czwartym już pokoleniu, w nich siedzą. Oto pomniki czasów pogardy. Jakże podobne: baszty piętrzące się niczym strzaskane utwory glacialne ponad ulicami Moskwy i arcydzieła germańskiej tektoniki Paula Troosta — tak jasne, tak nowe, tak odległe od tradycji i bezkompromisowe, jak światopogląd Führera. „Spokojna potęga, zwartość heroicznego wyrazu, słowo wodza wcielone w kamień”... Monachijska Ehren-tempel świętych ofiar Narodu, gdzie pod strażą rozkraczanej Ewige Wache, w dymach płonących zniczy, pod otwartym niebem ojczyzny spocząć miał kwiat teutońskiego rycerstwa: oprawcy z Einsatzkommandos, kryminaliści Dirlewangera, a może obsługa gazowych komór Auschwitzu. I strzegący kremlowskiego muru postępnego, sepulkralny blokhaus w barwach rewolucji, z krwawego jak ściany katowni granitu i żalobnego labraduru.

Mimo wszystkich podobieństw — jakże jednak odmienna mowa kamieni. Nie da się w żaden sposób zastąpić tamtych orłów, opałych ścierwojadów Drittes Reichu, potężnych kłosów, dotkniętych genetyczną potwornością, eicheulaubów i hakenkreutzów — równie brutalnymi narzędziami prymitywnej pracy, ociekającymi posoką gwiazdami i globami naznaczonymi liszajem erozji. Niemcy rozpełzli się szeroko, mnożąc z pruską dokładnością rytmy krępych filarów i niskich belkowań. Rosjanie wystrzelili wysoko, rzucili swoje płonące gwiazdy w niebo. Architektury tak podobne jak idee, które były ich natchnieniem — i tak odmiennie, jak mentalności obu narodów.

MIROSLAW KULEBA

BIEG PRZEZ PŁOTKI

ZWIJAĆ TEN CYRK!

Jako wróg monopolistów i zwolennik pluralizmu postanowiłem dzierżawić te łamy od czasu do czasu „Piłkotkarzowi”. Nazwiska nie wyjawię, choćby mnie mieli kroić na kawałki. A tym, którzy dzwonił już w tej sprawie do redakcji oświadczam, iż tracą czas. Zresztą, czy nazwisko jest tu takie ważne. Myślę, że istotne jest to, iż „Piłkotkarz” dobrze orientuje się w realiach i kulisach zielonogórskiego sportu. Pewnemu (na szczęście) byłemu już trenerowi pewnego zespołu koszykówki odpowiadam, iż felietonów „Bieg przez płotki” nie pisze moja żona. Choć przyznam, że taki wariant bardzo by mi czasem odpowiadał...

„Piłkotkarz” jest cenny, bo ma dobre „dojścia” do tzw. źródeł informacji. Może nie takie jak nasz „wywiadowca” Bogdan Kuncewicz, ale zawsze. Z Kuncewiczem to temat na odrębne opowiadanie. Gdybym go poprosił, powiedzmy, o rozmowę ze Zbigniewem Bonkiem, to jestem spokojny, że za kilka tygodni, na moim biurku, leżałby autoryzowany tekst... Przykład Kaspirowskiego jest tu ewidentny. Wiadomo bowiem, że ten człowiek opęda się od dziennikarzy jak może. Ja nie wnikam w to czy jest cudotwórcą czy hochszlaperem. Jest natomiast z pewnością jednym z najpopularniejszych ludzi, nie tylko w tej części Europy. I jest mi przyjemnie, że moja „Gazeta” dostała od niego wywiad.

Nazwisko Bonka padło tu nieprzypadkowo. Już za tydzień bowiem premiera w największym teatrze świata: Mundial, czy jak wolać włośli — Mondiale. Panowie, kto jeszcze nie stracił pracy, niech występuje o miesięczny urlop. Zonę z dziećmi najlepiej wysłać do teściowej. Czeka nas prawdziwa, jak mawia redaktor Szpakowski, piłkarska uczta. Wprawdzie bez naszych dzielnych futbolistów (którzy roz-

gromili ostatnio Zjednoczone Emiraty Arabskie — znaną, jak wiadomo, potęgę piłkarską), ale może to i lepiej. Będziemy mogli w spokoju skupić się na podziwianiu sztuki Brazylijczyków, Holendrów, Włochów czy Anglików.

Co nam proponuje telewizja, bo raczej na nią jesteśmy skazani. Zaczniemy od komentatorów. Do Italii pojedzie ekipa w składzie: Dariusz Szpakowski, Marek Madej i Andrzej Zygorowicz. Nie wiem, czy nie można było dokonać ciekawszego wyboru. Oczywiście każdy z nas ma swoich ulubieńców... Ja osobiście nie jestem fanem red. Szpakowskiego. Broń Boże nie dlatego, że jest zięciem red. Falskiej (pamiętacie dzienniki tv w stanie wojennym?). Red. Szpakowski, komentując mecze, zasypuje słuchacza lawiną słów (nawyk wyniesiony z pracy w radio) i, niestety, czasem szybciej mówi niż myśli... Marek Madej, w „swoim czasie”, nie przeszedł pozytywnie weryfikacji politycznej i przez jakiś czas jeździł w Łodzi „na taksówce”. Na ogół jest solidnie przygotowany do transmisji, wirtuozem mikrofonu jednak nie jest... Z całej trójki najlepszy, moim zdaniem, jest Andrzej Zygorowicz, choć i jemu zdarzają się często potknięcia. Miejsmy nadzieję, że nie będą tak wielkie, jak to, które przydarzyło się w Meksyku red. Wojciechowi Zielińskiemu (nie zauważył strzelonej bramki...). Czeka nas w ciągu miesiąca 60 godzin transmisji z 52 meczów. Rachunek nie zgadza się dlatego, iż w pierwszej rundzie z 36 spotkań, tylko 18 transmitowanych będzie w całości. Pozostałe — w półgodzinnych skrótach. Później zobaczymy już wszystko w relacjach bezpośrednich. Mecze rozpoczynają się o godz. 17 i 21. Nie przewidziano powtórek porannych, co uważam za błąd, bowiem ktoś jeszcze w tym kraju pracuje na drugą zmianę... A „Gazeta Nowa”, by ułatwić życie kibicom, przygotowuje wademecum „Wszystko o Mondiale”, który opublikujemy za tydzień.

Na koniec próba do rodzimych futbolistów: końciecie waszmościowie, wstydu oszczędźcie. Jak zwykle bowiem na finiszu lig, wygrywają ci, co wygrać mają... Ale czyż można się temu dziwić, jeśli Polski Związek Piłki Nożnej w trakcie rozgrywek ogłasza, iż w przyszłym sezonie III ligi nie będzie. Toż to nic innego jak zachęcenie do działalności handlowej. Oprócz kilku zespołów, którym „grozi” awans do II ligi, reszta gra o nic. Niech więc szybko ci co mają kupić i sprzedać złatwią swoje interesy i nie zakłócają mi odbioru Mundialu...

MIECZYSLAW WIĘCKOWICZ

Mecz tygodnia

POŁFINAŁY IMP BEZ A. HUSZCZY

Kilka zaskakujących rozstrzygnięć przyniosły ubiegłotygodniowe turnieje ćwierćfinałowe żużlowych mistrzostw Polski. Przede wszystkim wielkim zaskoczeniem jest wysoka forma zawodników zamykających ligową tabelę Unii Leszno. Roman Jankowski wygrał ćwierćfinał w Częstochowie, Zenon Kasprzak — na własnym torze, natomiast Piotr Pawlicki był trzeci w Opolu. W tej ostatniej imprezie sensacją było odpadnięcie Andrzeja Huszczy z Falubazu Zielona Góra. Bliski podzielenia jego losu był mistrz Polski Wojciech Załuski, który zajął dopiero siódme miejsce, wchodząc do półfinału „kuchennymi drzwiami”. Niespodziewanym zwycięzcą w Opolu okazał się reprezentant gospodarzy. Stanisław Pogorzelski. Z zawodników Falubazu do półfinałów awansowali Zbigniew Błażejczak (trzeci w Bydgoszczy), Jarosław Szymkowiak (czwarty w Opolu) i Andrzej Zarzecki (siódmy w Bydgoszczy). Godna szczególnego podkreślenia jest postawa Zarzeckiego. Awans to jego największy sukces w dotychczasowej karierze. Sławomir Dudek przegrał w Lesznie baraż z Włodzimierzem Helińskim o miejsce w półfinale. Dzielnie poczyna sobie weteran Stefan Żeromski (dawniej Falubaz, dziś GKM Grudziądz), który awansował z ćwierćfinału bydgoskiego.

MUSZKIETER Z ZIELONEJ GÓRY

Piękny sukces odniósł w zakończonych w niedzielę w Katowicach szermierczych mistrzostwach Polski młody zawodnik zielonogórskiego Kolejarza, Sławomir Nawrocki. W turnieju szpadzistów zdobył on srebrny medal. Gratulujemy! Zielonogórzanin stoczył bardzo zacięty pojedynek z Markiem Stępiem (AZS AWF Warszawa) o złoty medal. Pierwszą „piątkę” wygrał 5:3 warszawianin, drugą w tym samym stosunku Nawrocki. W decydującej rozgrywce o jedno trafienie lepszy (5:4) okazał się Stępień. Zdobywając „srebro” w Katowicach Nawrocki nawiązał do pięknych tradycji zielonogórskiej szermierki (bracia Kobraadowie, Wojciech Mróz i inni). Tre-

nerem Nawrockiego jest prowadzący równocześnie reprezentację Polski juniorów, Zbigniew Demianiuk. Godne podkreślenia jest to, że Nawrocki dopiero pierwszy sezon rywalizuje z seniorami. Przed nim piątką sportowa kariera. Gdy niedawno rozmawiałem ze Sławkiem po powrocie z zagranicznych wojaży, zapowiadał on mniejsze obciążenia treningowe. Powód? Zaległości w nauce spowodowane licznymi wyjazdami. Jak widać, forma nie uciekła i uczeń VII LO stanął na podium mistrzostw Polski seniorów.

JEDNAK WYCOFAŁY SIĘ...

Od kilku miesięcy obserwowałem „męki” drużyny piłkarskiej zielonogórskiego Sokola. Garstka dziewcząt i ich trener Zygmunt Borkowski próbowali utrzymać drużynę w pierwszoligowym gronie, wbrew przeciwnościom losu. Nie udało się... Tak jak nie udało się wcześniej rozpropagować szerzej tej dyscypliny sportu wśród lubuskich dziewcząt. W Gorzowie radzą sobie z tym lepiej. No, ale tam jest oparcie w silnym zakładzie (ZWCh Stilon). Nie pomogły Sokolowi posiłki z Gorzowa, trzeba było wycofać się z rozgrywek. Może jednak warto skonsolidować zespół i w następnym sezonie spróbować jeszcze raz. Wbrew temu co się na ogół sądzi, piłka w wydaniu pań ma w Zielonogórskiem swoich zwolenników. Na mecze rozgrywane poza stolicą województwa przychodziło po kilkaset tysięcy widzów.

JUREK ZJECHAŁ Z TORU...

To była jedna z sympatyczniejszych postaci na polskich torach żużlowych. Po 18 latach startów, zakończył sportową karierę Jerzy Rembas z gorzowskiej Stali. Pożegnalny turniej wygrał w niedzielę Piotr Świsł, jego klubowy kolega. Pożegnać się z Jurkiem przyjechało do Gorzowa wielu czołowych żużlowców kraju, m.in. jego przyjaciel, Andrzej Huszcza z Falubazu. Osiem tysięcy widzów, w tym wielu z województwa zielonogórskiego, odśpiewało Rembasowi „Sto lat”. Przed pierwszym wyścigiem pan Jurek pojawił się na torze z 15-letnim synem Piotrem. Czy pójdzie on w ślady ojca...? (MW)

„BIEDNY TO NIECH UMIERA”

Szanowna Redakcjo! Nazywam się Maria Chabior, jestem siostrą Małgosi Kurzawy. Chciałabym bardzo serdecznie podziękować wszystkim, którzy przyczynili się do opublikowania na łamach „Gazety Nowej” artykułu red. Grażyna Walkowiak „Biedny to niech umiera” w którym przedstawił no sytuację mojej siostry Małgosi. Dziękuję również red. Mieczysławowi Więckowiczowi oraz wszystkim, którzy organizowali pomoc i pozwolili na ratowanie życia mojej siostrze. Dzięki ofiarodawcom, osobom prywatnym, Kuril Biskupiej, księżom, instytucjom młodzieżowym, szkołom, harcom, sportowcom, strażakom i wszystkim innym, których nie jestem tu w stanie wymienić, jest szansa, że moja siostra skorzysta z pomocy medycznej w RFN. Dotychczas podziękowania inspirowałem tej akcji pani Wiesławie Janiszewskiej-Krzyżków i pani Józefowi Michcie oraz Rozgłośni Polskiego Radia w Zielonej Górze.

Bardzo wdzięczna
MARIA CHABIOR

STAL RZESZÓW	FALUBAZ

Gramy dalej

Tym razem kibice mieli sporo czasu do namysłu. Już dwukrotnie bowiem zamieszczaliśmy kupon na wytypowanie wyniku meczu I ligi żużlowej. Stal Rzeszów-Falubaz. Dziś czynimy to po raz trzeci i ostatni. Kupon można nadsyłać do 4 czerwca na adres: „Gazeta Nowa”, Zielona Góra, pl. Bohaterów Stalingradu 13.

W związku z licznymi pytaniami informujemy, iż co tydzień do wygrania jest 100 tys. zł. Jeśli jednak nikt prawidłowo nie wytypuje wyniku, w kolejnej grze stawka się podwaja. Żaden z grających nie przewidział rezultatu lubuskich derbów, więc w tym tygodniu do wygrania jest 200 tysięcy złotych.

Kondotierzy (3)

RAFAL GAN-GANOWICZ

Samolot leciał wzdłuż rzeki Kongo, które brudnozielone wody toczyły się przedziwnymi meandrami poprzez skąpaną dżunglę. Jak okiem sięgnąć, aż po horyzont, widać było bezkresne kłębowisko spiętanego lasu. Dominował kolor zgniozłociony. Na wysokości osmiuset metrów którą osiągnął z trudem nasz przeciążony samolot — grat, czuło było wilgoć, mdły oddech dżungli i bagien. Nie widać było ani dróg, ani wsi. Nieliczna ludność zamieszkująca dziewicze lasy nie zdołała wycisnąć na nich jakiegokolwiek śladu obecności człowieka. Tylko nad samą rzeką Kongo z rzadka rozsiadane plantacje świadczyły o istnieniu ludzi w tym imperium przyrody. Większość plantacji była zniszczona przez rebelię. Co się stało z ludźmi? Zdołali uciec? Zostali wymordowani? Kowalski mówił, że niestety w większości wypadków każda z plantacji, po których przesuwaliśmy się teraz cieniem naszego samolotu, była miejscem tragedii, męczeństwa i śmierci. Na całej prawie trasie dwóch tysięcy kilometrów ocalało tylko kilka plantacji. Zamienione w warowne obozy, otoczone rebelie, stanowiły etapy naszego lotu wzdłuż Kongo. Samolot musiał co kilkadziesiąt kilometrów lądować, by uzupełnić paliwo. Paliwo dostarczali nam bohaterzy osadnicy za garść amunicji, za jakąś broń.

I tak, skokami z plantacji kawy na plantacje cukru, trwał nasz na lot nad krajem, o którym jeszcze nie tak dawno nie wiedziałem nic... Gdzieś w połowie drogi nocleg w starym kolonialnym domu. Belg, który się w tym domu urodził, opowiadał o losach ojca, który ten dom zbudował. Czuł się Afrykaninem. Był kongijskim patriotą. Belgii prawie nie znał.

„Mulele maj! Muleleee maaaj!!!” Ryk setek gardzieli nie dał się zagłuszyć nawet ogniem broni maszynowej. Spiętaną chaszcze zdziczałej roślinności na Czwartym Kilometrze wypływały z siebie setki rozwrzeszczanych postaci ledwie widocznych w bezksiężycowej noc. Fale oszalałych murzynów szły, biegły, padały, podrywały się znowu... Rycząc i strzelając na oślep zbliżały się niebezpiecznie zamontowany na jeepie karabin maszynowy drgał w moich rękach krótkimi seriami. Pot zalewał mi twarz i tylko straszny, niemal naddudzkiem wysiłkiem woli, tłumieniem ogarniającą mnie panikę. Bałem się tego straszego tłumy, który wrzeszcząc szedł na mnie prawie niewidoczny, oszalały, podniecony własnym krzykiem, nieludzki... Rozsądek kazał mi panować nad sobą. Serie krótkie, sprawne, przemyślane. Nie zagrząć lufy! Oszczędzać amunicję! A strach zaciskał mi palec na języku spustowym — wydłużałem serie. Łapałem się na tym, że strzelam na oślep, że nie wybieram celu; grzała się lufa. I znów rozsądek przewyciężył strach. Z zimną krwią. Celnie. Skutecznie. A z chaszczy wyłaziły nowe tłumy pędzone dzwiękiem tam-tamów. Dwunastu katangijczyków w rowie koło jeepa. Zbili się w grupkę, leżeli jak najbliższej rozszekanego karabinu maszynowego, którego jazgot dodawał im odwagi, chronił przed paniką. Ich pistolety maszynowe pluły długimi seriami. Nie byli zdolni do myślenia. Ich ogień był nieskuteczny, ale sprawiał wrażenie, że jest nas więcej. Gdy musiałem wymienić rozpaloną lufę, gdy koniec taśmy przerywał ogień karabinu maszynowego na kilka czy kilkanaście sekund, wrzask nieprzyjaciół zbliżał się. I znów naciskałem na język spustowy. I znów przyszedłem rozpędzoną falą do ziemi. Osiemnaście taśm kończyła się... Madou, mój szofer, w omacku doczepiał dziewiętnastą. Nie szło mu to sprawnie, gdyż każde oddanie serii wyrywało mu koniec taśmy z ręki. Zdaży podziękować, czy nie? Bo jeśli nie, to kilka sekund

straconych na zataśmowanie może skończyć się tragicznie... Zdażył

Fala zataśmała się o kilkanaście metrów. Dwa następne granaty dokończyły dzieła. „Koniec! — śmiecha się szofer — wzywają do odwrotu! Rozepzrałem się. W jeepie była już tylko jedna taśma amunicji. Atak wroga zalał się w porę!

Siedząc na brzegu łózka, w kilka minut potem, zaciskałem zęby z bólu. W gorączce bitwy nie czułem, że wyrzucane z karabinu maszynowego rozgrzane łuski padały mi na głowę. Teraz czerwone i pokryte bąblami piekły mnie straszliwie. Kłamałem w okropny sposób. W trzech językach.

Moja pierwsza bitwa skończyła się moim zwycięstwem jako żołnierza. Ale była dowodem mojej kłeski jako dowódcy. Z dwunastu podkomendnych białych ochotników ani jeden nie wziął w niej udziału. „Moje wojsko” piło w mieście... Kompletnie lekceważyłem moich rozkazów...

Gdy kapitan Topór przedstawił mnie jako swojego następcę, zarówno czarny, katangijski batalion, jak i biali podoficerowie przyjęli mnie niechętnie.

Czarni kochali Topora, który dowodził nimi już w Katandzie przeciw wojskom „białych kłębów” ONZ. Topór był sprawiedliwy, odważny i brutalny. Dbał o swe wojsko jak matka i karal jak ojciec. Był jedynym oficerem w Kongo, który bil po pysku nie wywołując buntu. Od dawna był ich Mikuu, czyli plemiennym szefem, któremu służyli wiernie jak psy. Bez szemrania. Odpłacał im tę wierność. Zaden batalion nie mógł poszczycić się dowódcą, który by tak troskliwie dbał o swych żołnierzy, tak rozumiał ich potrzeby. Łamany język francuski Topora, jego tubalny głos wywoływały pełną szacunku ciszę w katangijskich szeregach. Kto choć raz przekonał się, jak niezdyscyplinowani i hańsaliwi są Katangijczycy, ten zrozumie, co chce przez to powiedzieć. Topór był wysokim, atletycznie zbudowanym, silnym mężczyzną. Kulawy od postrzału w kolano w Katandzie w 1961, podpierał się laską. Gdy odszedł z dowództwa 12 Batalionu, katangijczycy rozpaczali. „Czerwone Diabły” kochały swego dowódcę. Nielatwo było zastąpić Topora!

Nielatwo było również zastąpić go jako dowódcę dwunastu, białych podoficerów i żołnierzy. Dziwna to była ekipa: sześciu Włochów, dwóch Francuzów, dwóch Belgów, jeden Niemiec i jeden Duńczyk. Włochom przewodził sprytny chorąży Valcamonica. Valcamonica był ambitny. Wiedząc o bliskim odejściu Topora myślał, że Lamouline (dowódca najemniczej kadry w Kongo) wyznaczy go na dowódcę odpowiednio awansując. Miałem więc wroga. Nie miałem czym imponować tym starym wyjadaczom znanych i nieznanym wojen. Ni doświadczeniem, ni siłą fizyczną. Wiedziałem, że gdybym dyscyplinarnie wyrzucił Valcamonica lub ukarał któregoś z nich, to zginiemy od kul w plecy w pierwszej bitwie. Francuzi nie lubili Włochów, ale nie mieli powodu lubić mnie, a będąc w mniejszości woleli z Włochami nie zadzierać. Jeden z Belgów, stary wyga, miał odejść za dwa tygodnie a drugi, miłokos, nie liczył się wcale. Niemiec patrzył na mnie bokiem, w oczy okazywał pruską dyscyplinę, a za plecami zapewniał Valcamonica, że go popiera. Tylko Duńczyk jakoś mi sprzyjał. To on mnie ostrzegał. Zwłaszcza przed Alfredo Cossi.

C.D.N.



Raport o wodzie

Czytając „Raport o wodzie” zamieszczony w „Gazecie Nowej” w dniu 17.05.90 r. można mieć niekłamane uczucie zgrozy. Oto złożona z pracowników Przedsiębiorstwa Wodociągów Urzędu Miasta mafia stara się podstępnie otruć produkowaną przez siebie wodą niewinnych mieszkańców naszego miasta. Lecz tą nikczemną mafią działalność demaskuje prawy obywatel naszej społeczności pan Zygmunt Jemena. Zastraszony przez bossów mafii trucieleń, konspiracyjnie ukrywa swoje nazwisko i tytuły naukowe (które niewątpliwie posiada) grzmiąc na tawogę zaiste „zygmuntowym” szpizym głosem.

A historia zielonogórskiej wody przedstawia się następująco. Dawno dawno temu, kiedy gród nasz zamieszkiwało niespełna trzydziestu tysięcy mieszkańców jedynym i wystarczającym źródłem wody były studnie głębinowe zlokalizowane na terenie miasta. Były one podłączone bezpośrednio do sieci wodociągowej dając wodę czystą i smaczną. Nie stety sielanka nigdy nie trwała wiecznie. Obywatele miasta przybywając do wody na jego terenie przybywać nie chcieli. Zaczęto szukać innych źródeł wody podziemnej. Znalaziono je w miejscowości Zawada. Wody było tam dużo, miała ona tylko jeden mankament — była nieznanie żelazista. W 1955 r. zakończono budowę ujęcia wód podziemnych wraz ze stacją ich uzdatniania. Znow wszyscy byli szczęśliwi — niestety nie na długo.

Na początku lat siedemdziesiątych nastąpiła „katastrofa żelazowa”. Polegała na gwałtownej zmianie zawartości żelaza w ujonowanej wodzie. Jego stężenie wzrosło z 2-3 mg/dm³ wody do 20-25 mg/dm³. Z taka „dawką” zeżarła istniejące na ujęciu urządzenia — poradzić sobie nie mogły.

Część mieszkańców Zielonej Góry pamięta zapachne czasy druzdzaków wypełnionych wata z pomocą których uzdatnianie domowym sposobem brunatną ciecz płynącą z kranów. Rozpoczęto więc rozprawy poszukiwania nowego źródła wody. Zaczęły się w historii zielonogórskiej wody dzieje najnowsze, tak malowniczo opisane przez Zygmunta Jemena. Z niektórymi tezami, w nich zawartymi można się zgodzić. Rzeczywiście koncepcja ujmowania wody z rzeki Obrzyca, a w zasadzie kanału melioracyjnego wybudowanego jeszcze w ubiegłym stuleciu, była mocno kontrowersyjna.

W latach kiedy rozpoczęto jej realizację Obrzyca była rzeka drugiej klasy czystości a więc w świetle istniejących przepisów jej wody nie nadawały się do ujmowania do celów wodociągowych. Polepszyć wodę w Obrzycy zamierzano poprzez budowę w miejscowościach leżących na terenie jej zlewni 28 oczyszczalni ścieków. Pozostało to niestety do dnia dzisiejszego jedynie w sferze pobożnych życzeń. Zgodzić się należy również z tym, że ze względów oszczędnościowych wybrano najgorszy wariant pobierania wody z rzeki — ujęcie brzożowe, choć projekt przewidywał również budowę zbiornika uśredniającego o dwudobowym czasie przetrzymania wody. Niestety ze względów oszczędnościowych z planów inwestycyjnych zbiornik ten po prostu wypadł. Wypadła z nich również stacja ozonowania wody (która smak wody polepszyłaby z pewnością w sposób zdecydowany).

Co do zastosowania jako urządzeń do oczyszczania wody „akceleratorów” zgodzić się z panem Jemenem niestety nie sposób. Posiada on chyba w swojej domowej bibliotece jedynie podręczniki z lat sześćdziesiątych. Akcelatory lub urządzenia im podobne zafundowało sobie w młodości szereg wodociągów w kraju, może być pan pewny że nie ze względów oszczędnościowych.

W kwestii mikroorganizmów wypada się zgodzić z panem Jemenem, w wodzie Obrzycy jest tych „zyjatek” wyjątkowo dużo. I właśnie one są dla wodociągów nie tylko zresztą naszych, największą zmart. Mikroorganizmy owe bezlitośnie wymordowane w akceleratorach za pomocą chloru pozostawiają po sobie ślady w postaci owych rybich, trawnych i zbitwiałych posmaków i zapachów. Usunąć je można z wody jedynie przez tzw. sorbcję na węglu aktywnym.

Filtry z węglem „aktywnym” zostały uruchomione w naszym Zakładzie Produkcji Wody — 2 czerwca 1989 r. Cudzystów przy wyrazie aktywny jest celowy. Jak fachowcom wiadomo w Polsce na razie na skalę przemysłową węgiel aktywny z prawdziwego zdarzenia się nie produkuje. Dobry węgiel aktywny produkowany jest w Hajnowce, lecz całoroczna produkcja wynosi tam ok. 100 ton — o 20 ton za mało na jednorazowy zastęp do istniejących w Zakładzie Produkcji Wody urządzeń. „Prawdziwy zachodni węgiel aktywny firmy Norit kosztuje ok. 2,5 tys. dolarów za tonę, a więc pozostaje dla naszego przedsiębiorstwa przynajmniej na razie obiektem „teoretycznym”. Zastosowany

(Ciąg dalszy na str. 18)

LISTY

(Ciąg dalszy ze str. 17)

w naszych wodociągach węgiel pochodzący z Raciborza o wdzięcznej nazwie Carbol — Zł jest mo że dobry w technologii oczyszczania ścieków ale nie wody. Ma on poprostu za małą zdolność sorbcyjną i wytrzymałość mechaniczną. Zgodnie z oczekiwaniem potwierdzonymi badaniami prowadzonymi w skali laboratoryjnej jego „żywność” wynosiła ok. 4 m-cy. W chwili obecnej cała woda jest kierowana w dalszym ciągu na złoża z węglem, jednakże jego efektywność wynosi obecnie ok. 10 proc. Wartości początkowej. Nie istnieje też możliwość zakupu dalszych partii tego węgla, bo go po prostu nie ma. Tyle o węglu.

Teraz sprawa bolesna dla pana Zygmunta Jemena, a mianowicie siarczan żelazawy. Jest to substancja alternatywna dla stosowanego dotychczas siarczanu glinowego — spełniająca równie dobrze stawiane mu wymagania. Posiada pan zapewne w swoim bogatym księgozbiore niejedną pozycję traktującą o owym „surszynie smoku”. Technologie oparte na tym koagulancie są szeroko stosowane w cywilizowanym świecie m.in. w Paryżu i Barinie Zachodniej, o czym dość obszernie pisze się również w naszej najnowszej krajowej literaturze.

W ramach Centralnego Programu Rozwojowego (CPBR 13.1) w Instytucie Gospodarki Przeszlennosci i Komunalnej — w Oddziale Poznańskim przebadano siarczan żelazawy z wszystkich zakładów w kraju produkujących „owo paskudztwo”, potwierdzając jego pełną przydatność do oczyszczania wody pitnej. Jesu chodzi o jego użycie na skalę techniczną w naszych wodociągach to nastąpiło to znacznie później niż w maju. Pierwsze próby na skalę techniczną (poprzedzone rocznymi badaniami laboratoryjnymi) rozpoczęto pod koniec czerwca ubr. kierując zresztą uzdatnianą w ten sposób wodę po prostu do kanalizacji. Do prób używano siarczanu żelazawego pochodzącego z huty „im. Lenina” w Krakowie. Produkt ten odpowiada normie BN-69/6016-10 dla gatunku I a więc o najwyższej klasie czystości. Norma ta limituje zawartość m. in. metali ciężkich. Stosowanie siarczanu na pełną skalę techniczną rozpoczęto z dniem 1 października 1989 r. W m-cu grudniu tegoż roku przebadano siarczan żelazawy pochodzący z zakładów Chemicznych w Polcach. Badania te wykonywano we własnym zakresie, jak również zlecając je instytucjom od wodociągów niezależnym, aby uniknąć posądzeń o jakikolwiek stronniczość. Wyniki badań skłoniły przedsiębiorstwo do wystąpienia o atest zdrowotny do Państwowego Zakładu Higieny w Warszawie — instytucji w tej materii najbardziej kompetentnej. PZH po przeprowadzeniu własnych badań uzupełniających atestu takiego udzielił w dniu 29.01.1990 r. Od tego dnia datuje się również stosowanie siarczanu żelazawego rodzem z Polic. Co do zawartości w wodzie „szkodliwej” ołowiu i cynku to w sprawie ołowiu badania (wyniki analiz do wglądu w przedsiębiorstwie) wykazały że jego zawartość w wodzie zielonogórskiej jest niższa 7-10 razy niż dopuszcza Polska Norma. Jeśli chodzi o zawartość cynku to encjałoby się rzec: szkoda że w naszej wodzie nie ma go więcej. [...] Polska Norma limituje zawartość cynku w wodzie — nie powinna ona przekraczać 0 mg/dm³ wody. W naszej zielonogórskiej jest go średnio ok. 20 razy mniej (wyniki bieżących analiz do wglądu). Również pozostałych metali ciężkich takich jak miedź, chrom, kadmi i arsen w naszej „sławnej” znajduje się o rzędy wielkości mniej niż dopuszczają to normy. Co do odbarwionej na skutek przedawkowania siarczanu żelazawego we wrześniu ubr. herbata to po pierwsze, musiała to być niechybnie „herbata popularna”, ta jak wiadomo nie zabarwia się w ogóle, po drugie herbata w połączeniu z siarczanem żelazawym daje intensywnie błękitny kolor. — po trzecie w tym okresie rzeczywiście miało miejsce przejściowe pogorszenie jakości wody, lecz w połączeniu z herbatą dawało ono nieco inne efekty. Przedsiębiorstwo udzieliło w tej sprawie wyjaśnień we wrześniu ubr. na łamach „Gazety Lubuskiej”. — po czwarte (może najważniejsze) w dniach występowania owych efektów stosowano jako koagulant siarczan glinowy.

W kwestii następnego „potwora” tj. trojhalometanów należy się społeczeństwu nieco wyjaśnić. Związki te, szkodliwe dla zdrowia, tworzą się rzeczywiście podczas chlorowania wody a nieestetyczna rzeczona chlorowana być musi. Zanieczyszczenie chlorowania wody doprowadziło w krótkim czasie do wybuchu epidemii. Gwoli ścisłości należy je dnak podać, że zalecenia WHO (Światowa Organizacja Zdrowia) mówią, że zawartość trojhalometanów w wodzie nie powinna przekraczać 0,1 mg/dm³ — a nie jak błędnie podał pan Jemen Zygmun 0,03 mg/dm³. I tej prawdziwej dopuszczalnej wielkości jak dotąd w Zielonej Górze nie przekroczone. Dla wyczerpania tego tematu warto by dodać że przy stosowaniu jako koagulantu siarczanu żelazawego powstaje ich mniej niż przy użyciu siarczanu glinowego co zresztą potwierdzają wyniki badań w przypadku naszej wody. (materiały źródłowe na ten temat są do wglądu w siedzibie wodociągów). W kwestii dla pana Jemena najbardziej bolesnej tj. pieniędzy wyjaśniamy, że w połowie ubr. o jakikolwiek pieniądze nikomu się jeszcze w firmie nie śniło (no może z wyjątkiem kilku osób co to w laboratoryjnej czyszy...). Pieniądże za opracowanie nowej technologii otrzymali w grudniu ubr. jedynie twórcy projektu racjonalizatorskiego w łącznej kwocie 9 (słownie dziewięciu milionów) a żaden z twórców do elity kierowniczej firmy się nie zaliczał. Kwota ta uległa w pierwszym kwartale b.r. cudownemu rozmnożeniu — ale to już wynik działalności rządu p. Mazowieckiego. Temat ten został zresztą dość wyczerpująco opisany na łamach gazety „Nowej”. Co do milczenia instytucji sprawujących nadzór nad PWiK (chodzi tu chyba

o Sanepid i Wojewódzki Ośrodek Badań i Kontroli Środowiska) — powód jest chyba jeden. W instytucjach tych siedzą w odróżnieniu od pana Jemena, prawdziwi fachowcy, którzy w razie rzeczywistych zagrożeń na pewno nie będą, a próżno uderzać w dzwony chyba nie chcą.

I rzecz najważniejsza, co z tego wszystkiego ma społeczeństwo Zielonej Góry? Ma wodę w wystarczającej ilości, może nienajlepszą pod względem smaku i zapachu (trudno ze złego surowca zrobić idealny produkt), ale na pewno nie trującą. Cena tej wody jest dzięki stosowaniu nowej technologii niska w porównaniu z ceną w innych miastach ujmujących wody powierzchniowe (nieleci się w druzdziesiątce miast wojewódzkich).

Co w perspektywie? Przedsiębiorstwo prowadzi prace nad polepszeniem własności organoleptycznych i fizykochemicznych wody. Rozważa się mo-

żliwość zastosowania mikrofit, które usuwałyby wody mikroorganizmy nadające jej zapach i smak jak również zastosowania ozonowania wody. Innym rozwiązaniem polepszającym zdecydowanie jakość wody byłoby zastosowanie infiltracji tak gorąco zalecanej przez św. pamięci prof. Kłaczewskiego. Na ukończeniu są badania geologiczne terenów przeznaczonych pod budowę ujęcia infiltracyjnego. Czy budżet miejski będzie stać na taką inwestycję, nie wiadomo. Ponieważ problem wody jest przedmiotem zainteresowania wszystkich obywateli naszej społeczności, PWiK planuje zorganizowanie dni otwartych w wodociągach. [...]

mgr inż. Beata Jilek

Dyrektor PWiK

mgr inż. Juliusz Świątko

Technolog w Zakładzie Produkcji Wody

Rozwiązanie konkursu „CZYJE TO SŁOWA” z numeru świątecznego (14/1989)

Prawidłowa odpowiedź:

- „Wytykają mi ponurą minę, brak uśmiechu” — Wojciech Reszczyński
 - „Nie lubię kobiet mało zdecydowanych, które nie wiedzą czego chcą” — Tadeusz Drożdża
 - „Śmiejemy się przeważnie z tego, z czego nie powinniśmy — nie postadamy żadnego poczucia humoru” — Roman Wilhelmi
 - „Nie stać mnie na utrzymanie własnych dzieci, a co dopiero agenta czy sekretarki” — Bogusław Linda
 - „Brakowało mi w dzieciństwie kogoś, kto by mógł mi powiedzieć, na ile mnie stać” — Piotr Machalica
 - „Romeo w moim wykonaniu to były telewizyjne wygłupy” — Jerzy Urban
 - „Najłatwiej jest krytykować — wytykać ludziom ich błędy, wady, słabość” — Roberto de Niro
 - „Cóż, jestem normalną kobietą, więc nie w tym dziwnego, że lubię seks” — Kim Wilde
 - „Najpierw jednak trzeba coś osiągnąć, żeby móc liczyć na zapłatę” — Zenon Plech
 - „Sam lubilem oglądać komedie, westerny i filmy o miłości” — Radosław Piwowarski
 - „Postanowiłem sobie, że do „czterdziestki” muszę skończyć dom i spłacić dług” — Krzysztof Kolberger
 - „Jestem człowiekiem gwałtownym, spontanicznym — ale chyba o dobrym sercu” — Jerzy Maksymiuk
- Nagrodę w wysokości 100 tys. złotych wylosowała Patrycja Friedrich z Zielonej Góry. Nagrodę wysłamy pocztą.

Na tropach dawnej Zielonej Góry



ZIELONA GÓRA — GŁÓWNY ANNO 1871

Stosunkowo późno pojawiła się komunikacja kolejowa w Zielonej Górze. Gubin, Lubsko, Żary, Zagań już od ponad dwudziestu lat posiadały połączenia „parowo-żelazne” z Berlinem, Poznaniem i Wrocławiem. Wielu zielonogórzan po raz pierwszy w życiu zobaczyło prawdziwą lokomotywę parową dopiero 23 marca 1871 roku. W tym to bowiem dniu, po świeżo ułożonych żelaznych szynach, przyjechał z Czerwińska na stację Zielona Góra próbny pociąg, który po krótkim postoju ruszył w dalszą drogę do Nowej Sól. Techniczny odbiór tego odcinka „parowo-żelaznego traktu” trwał do końca września.

W szybkim tempie wznoszono budynek dworca i obiekty towarzyszące. Nie przypominają one w niczym dzisiejszego kompleksu „Zielona Góra — Główny”. Dworzec zielonogórski anno 1871 nie różnił się swoim wyglądem zewnętrznym i układem wewnętrznym od tych dworców, które jeszcze dzisiaj oglądać możemy w Bieniowie, Krośnie Odrzańskim czy Sulechowie.

Dnia 1 października 1871 roku, o godzinie 8.53, przy dźwiękach miejskiej orkiestry dętej i udziale niemal całej ludności miasta z burmistrzem Nitschkenem na czele, z jedyne go wtedy jeszcze drewnianego peronu odjechał pierwszy rozkładowy „osobowy” z lokomotywą o numerze 51 i wagonami klasy I, II i

III. Po upływie czterdziestu minut „osobowy” zameldował się na stacji docelowej — Nowa Sól.

Już w roku 1874 zielonogórzanie, nie prześiadając się, mogli dojechać do Szczecina i Wrocławia, a z Czerwińska — do Berlina, Sulechowa i Poznania. Pod koniec stulecia powstał projekt wytyczenia linii kolejowej Zielona Góra — Cigacice — Sulechów. Konceptja upadła na skutek braku zgody Berlina na wybudowanie mostu kolejowego przez Odrę pod Cigacicami. Bezpośrednie połączenie kolejowe z Żarami i Żaganiem przez Krzystkowice, Bieniów, Zielona Góra otrzymała w 1904 roku. 30 września 1911 roku wyruszył z Zielonej Góry pierwszy bezpośredni pociąg osobowy do Szprotawy.

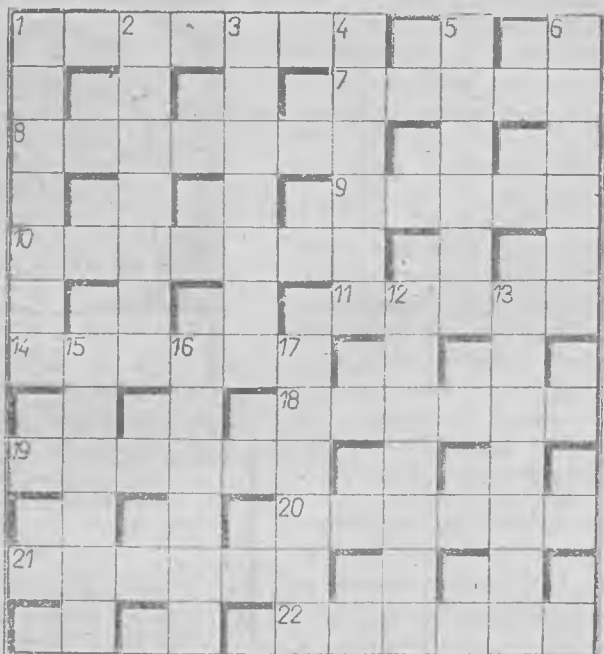
Pierwsze poważne spóźnienie pociągu kroniki kolejowej Zielonej Góry zanotowały dopiero w roku 1903. Otóż „osobowy” relacji Głogów — Zielona Góra, planowany przyjazd 9.50, dotarł do stacji końcowej dopiero o godzinie... 10.47. Przyczyna? Maszynista pociągu na stacji Bytom Odrzański otrzymał informację, że... został ojcem trojaczek i zemdlał z wrażeń. Pasażerowie nie wnieśli skargi, a Dyrekcja Kolei ufundowała mu z tej okazji złoty zegarek. Nazwiska maszynisty kronika nie podaje.

JERZY PIOTR MAJCHRZAK

twatyby
bach i po
ania wo
zdecydowa
infirmary
prof. K
a geologi
we ujęci
e stać na
problem
wszystkich
nuje zoc
h. 1-3

enta Jilek
tor PWIK
sz Świąt
cji Wody

KRZYŻÓWKI NR 20



Pol zatem...

KRZYŻÓWKI NR 20

POZIOMO: 1) zaminowana wieżyczka, 7) jamochłon na szyi, 8) cięta, a krwi nie widać, 9) podrabiacz wyrobów srebrnych, 10) pospodyt chęba, 11) ranek dookoła, 14) kaczką z łapa, 18) tam gdzie przez rośnię, 19) garderobiane podtrzymywaczki, 20) niedrogi sól, 21) na potęgę le wlezie, 22) Kurтка w pochwie.

PIONOWO: 1) zajęć maratończyk, 2) parawan w remoncie, 3) przedstawianie wieży, 4) z kaczem przy krosnach, 5) rzeka w terze, 6) słój na wnętrzości zwierzęce, 12) grający niedoługa w kształcie rury, 13) szumią jodły w bracie polskim, 15) szlifierz chodników, 16) zmoczona wśród drzew, 17) zdobywcę odprawionego

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 17

Poziomo: samorząd, rumak, mijanka, polka, wanilia, klasa, przepka, szkoła, zastęp, esteta, Gierok, turban.

Pionowo: samowar, majenie, synalek, drapak, emalia, oktuwa, lokator, sałatka, znamię, patera, aspekt.

Nagrodę wylosowała Bogusława Zawadzka z Zielonej Góry. Nagroda do odebrania w redakcji

Andrzej Mleczek



HOROSKOP

BARAN — 21.03—20.04.
W pracy zawodowej tygodnię rozpocznie się bardzo ciekawie i mimo, że nie będą to dni spokojne, dadzą Ci sporo satysfakcji. Ocena przelanych wypadnie pozytywnie i być może będzie powodem do należnego Ci od dawna awansu. Pod koniec tygodnia zarysuje się perspektywa podróży służbowej, — przemysł tę drogę bardzo dokładnie zanim się zdecydujesz. Finanse w normie. Kilka spotkań, szczególnie to w towarzystwie Wagi może być początkiem czegoś ważnego. Samotny Baran ma życiową szansę w dobrym ułożeniu swoich uczuć.

BYK — 21.04—21.05.
W pracy pewne komplikacje, które wynikną częściowo z Twojego uporu, uda się przeprowadzić w sposób na tyle zgrabny, że wszyscy będą zadowoleni. Ale pamiętaj, najwyższym atutem będzie spokój, uznanie zdań innych i spora doza dyplomacji. W życiu osobistym nowe obowiązki, niektóre nie przypadną Ci do gustu, ale postaraj się, by nie wytworzyć atmosfery napięcia i nerwowości. Nie zapominaj o uśmiechu i o słowie „przepraszam”.

BLIŹNIĘTA — 22.05—21.06.
To może się okazać bardzo udany tydzień. Pierwsze dni przyniosą dowody powodzenia i sukcesów, szczególnie w tej najważniejszej dla Ciebie sprawie. Perspektywiczne plany zawodowe będą nabierały coraz realniejszego kształtu, ale zanim podejmiesz ostateczną decyzję — przeanalizuj wszystkie za i wszystkie przeciw. W życiu osobistym zmiana, która powinna Cię bardzo usatysfakcjonować, — szczególnie, gdy będzie związana z osobą spod znaku Lwa.

RAK — 22.06—22.07.
Spróbuj od początku tygodnia energicznie włączyć się do spraw toczących się wokół, a efekty zobaczysz w najbliższych dniach. Spodziewaj się doskonałych układów ze współpracownikami, uznania przełożonych i sporej nagrody. W życiu osobistym duże zmiany na korzyść. — ktoś, kto z Tobą od dawna konkuruje, pozostanie zdecydowanie w tyle. Wielka szansa dla samotnych Raków, ich znajomość z Panną będzie zaowocowała na długo, a może na zawsze? Finanse nieźle, ale przemysł wszystkie drobniejsze i mniej konieczne wydatki.

LEW — 23.07—22.08.
Początek tygodnia niezwykle zabiegany, a dla Lwów na kierowniczym stanowisku piętzące się trudności, które pod koniec tygodnia uda się rozwiązać i to przeważnie po własnej myśli. Potrzebny Ci jest takt w prowadzeniu rozmów oraz bardzo dużo spokoju przy podejmowaniu decyzji. W najbliższym czasie nie wybieraj się w żadną podróż, — nawet najkrótszą. W sprawach nastąpi nie tylko spokój, ale zdecydowany zwrot w Twoim kierunku, musisz tylko okazać trochę skruchy, serdeczności i bardzo dużo dobrej woli.

PANNA — 23.08—22.09.
Na początku tygodnia zaskoczy Cię decyzja — a może postępowanie? — przełożonych. Uczucie zawodu będzie Ci towarzyszyło dłuższy czas, mimo, iż szybko się wyjaśni, że sprawa nie powinna dotyczyć Ciebie. Nie martw się, nie zalamuj, nie narzekaj — pracuj normalnie i bądź ponad ludzką nieprzychylność i niesprawiedliwość. Natomiast w życiu osobistym — znakomite układy. Oddalony od Ciebie ktoś ważny i bliiski zachce powrócić na dawne miejsce w Twoim sercu, proponując wspólną podróż lub dłuższy wypoczynek.

WAGA — 23.09—23.10.
Otrzymała na początku tygodnia wiadomość wpraw: Cię początkowo w zdumienie, a po prze-myśleniu ucieszy. Będą się z nią wiązały sprawy dodatkowej pracy być może wyjazdu na dłuższy okres, wzmoczonego wysiłku, ale w sumie wszystko przyniesie sporo satysfakcji, także finansowych. W tym tygodniu warto pamiętać o kimś, kto czeka od dawna na dowody Twojej pamięci i życzliwości, — a najbardziej na ponowne spotkanie.

SKORPION — 24.10—22.11.
Od pierwszych dni tygodnia znaczna, zdecydowana poprawa atmosfery w pracy, wyjaśnią się niektóre nieporozumienia i to wyraźnie na Twoją korzyść. W sprawach sercowych pojawiają się szanse na powodzenie i duże awanse u osoby, o której od dawna myślisz. Pamiętaj, że koniecznie jest zachowanie taktu i dużej kultury, wówczas wszystko rozwiąże się samo i pomyślnie. Dobre perspektywy finansowe, chociaż na horyzoncie spory wydatek, który Cię mocno zaskoczy.

STRZELEC — 23.11—21.12.
Dobra passa w pracy zawodowej będzie dla Ciebie zachętą do bardziej energicznego działania, wywoła przyływ inwencji, a nowe pomysły sprawią, że otoczenie przykłaśnie Twemu postępowaniu. Ale uznanie nie będzie jednogło-

ne, strzeż się zawiści i złych słów. Warto wówczas, ze spokojem i opanowaniem, zdobyć się na stanowczą obronę Twoich tez i mocną odprawę niezyczliwych. Dużo radości w życiu osobistym miły wieczór pozostawi moc wspomnień, a gdy będzie Ci towarzyszyć Panna wówczas pewne sprawy mogą ulec zdecydowanej zmianie.

KOZIOROŻEC — 22.12—20.01.
Tydzień zmian i nowych nadziei, staniesz wobec problemów, z których trzeba będzie wybrać najbardziej właściwy. Nie spiesz się, prze-myśl, rozpatrz wszystkie pozytywne i negatywy — i dopiero potem podejmij decyzję. Rada Raka nie zawadzi. Nadzieja na poprawę finansów nieco się oddala, ale bądź spokojny, nie popielniaj niewłaściwych ruchów, a wszystko się ułoży z dużą korzyścią dla Ciebie. Pod koniec tygodnia spotkasz się z wyrazami życzliwości. Nieporozumienie sercowe, trwające od dość dawna — uda się wyjaśnić. Od czasu do czasu posłuchaj dobrych rad Byka, a i rady Skorpiona mogą się okazać korzystne, szczególnie dla kieszeni.

WODNIK — 21.01—20.02.
W tym tygodniu możesz liczyć na powodzenie we wszystkich sprawach, głównie zawodowych. Skomplikowaną dotychczas sytuację łatwiej będzie rozwikłać dzięki pomocy lub radzie, która nadejdzie z zupełnie nieoczekiwanej strony. Nie zaprzepaś tej szansy. Duży sukces sercowy, niemal zawrót głowy od pierwszego spojrzenia. Dla wszystkich samotnych Wodników — niepowtarzalna szansa na coś najważniejszego i być może najtrwalszego w życiu. Finanse cieniutkie, ale na horyzoncie znaczna poprawa. Wielce serdeczny Koziorożec i zawsze pomocny Byk są przy Tobie.

RYBY — 21.02—20.03.
Twój nie najlepszy nastrój utrudni codzienne działanie, ale niepotrzebnie tak emocjonalnie podchodzisz do swoich zawodowych spraw, — spokój i rozważa pomogą wszystko ustawić na właściwej płaszczyźnie. Więcej uśmiechu, wyrozumiałości i tolerancji, to najlepsze lekarstwo. Romantyczne na wiosnę Ryby mają spore szanse na wielkie uczucia, z tym, że będzie to nie tylko ich renesans, ale — w przypadku samotnych — coś pierwszego i ważnego, szczególnie wówczas, gdy będzie to skorpion. Dobre, a nawet bardzo dobre finanse wyraźnie poprawią samopoczucie i pozwolą prawie bezboleśnie znieść nieprzewidziane wydatki. Uważaj na oczy, to Twoja słaba strona. Rybom, jak zawsze, pozostaje wierny Skorpion, a zakochany w nich jest Lew.



Gazeta Nowa - kłamstwa stare

W nr 18 „Gazety Nowej” pod tytułem „Tak było” - zawile sprawy zielonogórskiej gazety, zamieszczono obszerne fragmenty publikacji Andrzeja Berkowicza na temat mojej osoby i pracy na stanowisku redaktora naczelnego „Gazety Zielonogórskiej” w latach 1952-1956. Artykuł Berkowicza przedrukowany przez „Gazetę Nową” ukazał się w nr 28 tygodnika „Po prostu” z 8 lipca 1956 r. Jednakże już przed wielu laty w toku postępowania przed sądami koleżeńskimi stwierdzono, że artykuł ten obok wielu innych mniej poważnych i podlegających dyskusji zarzutów zawierał dwa wyjątkowo ciężkie oskarżenia. Miałem rzekomo organizować donosicielstwo. Ponadto insynuowano, że miałem mieć coś wspólnego z gubieniem przez pracowników legitymacji partyjnych. Również te oskarżenia powtórzone zostały we fragmentach przedrukowanych w „Gazecie Nowej”.

Ubolewam, że sięgając po materiał do rocznika „Po prostu” sprzed 35 lat, czyli z lipca 1956 roku Redakcja „Gazety Nowej” nie zadawała sobie trudu, by zapoznać się z późniejszymi publikacjami na ten temat zamieszczonymi w tymże „Po prostu”.

Ja sięgnąłem. I dlatego w oparciu o późniejsze materiały opublikowane w „Po prostu” chciałbym ciągnąć dalszy tej sprawy przedstawić.

Po ukazaniu się zniesławiającego mnie artykułu w „Po prostu” skierowałem skargę do Sądu Koleżeńskiego przy Zarządzie Głównym Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich w Warszawie.

Sąd po dokonaniu czynności wstępnych i po rozpatrzeniu wszystkich okoliczności wydał orzeczenie: „Sąd Koleżeński przy Zarządzie Głównym Stowarzyszenia Dziennikarzy w składzie, redaktorzy: Mirosława Parzyńska, Janusz Laskownicki i Leszek Kołodziejczyk na posiedzeniach w dniach 2 marca, 3 kwietnia i 9 maja 1957 r. rozpatrywał sprawę wniesioną przez kol. Wiktora Lemiesza przeciwko kol. Andrzejowi Berkowiczowi. Sąd orzeka, że kol. A. Berkowicz w artykule swoim pt. „Zawile sprawy zielonogórskiej gazety” zamieszczonym w „Po prostu” dnia 8 lipca 1956 r. posłużył się jako argumentem faktami nieprawdziwymi. uwłaczającymi byłemu redaktorowi naczelnemu „Gazety Zielonogórskiej” Wiktorowi Le-

mieszowi i w związku z tym udziela mu upomnienia”.

W uzasadnieniu orzeczenia czytamy m.in. „Kol. Berkowicz działał niewątpliwie w dobrej wierze i artykułem swoim przyczynił się do uzdrowienia stosunków w „Gazecie Zielonogórskiej” jednakże nie dopełnił podstawowego obowiązku dziennikarskiego i dokładnie nie sprawdził zebranych informacji. W związku z tym wysunął przeciwko kol. Lemieszowi krzywdzące zarzuty (np. sprawa z legitymacjami oraz organizowanie donosów), które w wyniku przewodu sądowego okazały się nieprawdziwe. Biorąc pod uwagę dobre intencje kol. A. Berkowicza jako okoliczność łagodzącą, Sąd wymierzył najłagodniejszy wymiar kary.

„Prasa Polska” wydrukowała wyrok w najbliższym numerze. Natomiast redakcja „Po prostu” uczyniła to dopiero 9 czerwca 1957 r. (w numerze 23). Jednakże chcąc osłodzić sobie gorzką pigułkę i osłabić wywołaną wyrokiem zamieszcila pod tekstem orzeczenia pod wspólnym tytułem („Wyrok”) obszerny artykuł Janusza Chudzyńskiego. Ten skrytykował nie tylko mnie, ale i sąd i powtórzył zarzuty uprzednio przez Berkowicza podniesione i przez Sąd uznane za nieprawdziwe. Swoje wywody zakończył w sposób następujący:

„... jeśli Sąd Koleżeński miał coś uczynić — to nic więcej ponad oddalenie skargi Lemiesza. Każdy inny wyrok jest tylko przykrym i bolesnym nieporozumieniem, tym bolesniejszym, że firmowanym przez znanych, uczciwych i cieszących się szacunkiem dziennikarzy”.

I gdyby „Gazeta Nowa” sięgając do starych roczników „Po prostu” zajrzała do numeru 25 z 23 czerwca 1957 r. znalazłaby tam inny jeszcze tekst: „W związku z zamieszczonym w „Po prostu” tytułem Janusza Chudzyńskiego pt. „Wyrok” kwestionującym słuszność orzeczenia Sądu Koleżeńskiego w sprawie pomiędzy kol. Lemieszem a kol. Berkowiczem oświadczamy co następuje:

1) Jako członkowie kolegium orzekającego nie rościmy sobie pretensji do nieomyślności. O pełnionej omyłce może jednak przekonać tylko orzeczenie innego kompletu Sądu Koleżeńskiego, wydane na podstawie odwołania się jednej ze stron. Podjęcie polemiki dziennikarskiej przez Redakcję „Po prostu” bez jednoczesnego wniesienia odwołania się jednej ze stron. Podjęsimy uważać, za wygodną być może dla Redakcji, lecz pretendującą do nieomyślności próbę jednostronnego przesądzenia sprawy...”

I dalej: „Kol. Chudzyński przez kreśląc apodyktycznie orzecze-

nie Sądu Koleżeńskiego nie zapoznał się uprzednio z przebiegiem rozprawy. Na skutek tego powtórzył wiele zarzutów, które Sąd Koleżeński odrzucił jako nie zgodne z prawdą, ale podał też nowe, nieprawdziwe fakty z przebiegu rozprawy...”

Podpisali ten dokument: Mirosława Parzyńska (przewodnicząca Głównego Sądu Koleżeńskiego przy ZG SDP) oraz Janusz Laskownicki (wiceprzewodniczący Głównego Sądu Koleżeńskiego). Ponadto znalazł się dopisek: „W nieobecności Leszka Kołodziejczyka przebywającego za granicą”.

Ja ze swej strony wniosłem kolejny pozew do Sądu Koleżeńskiego. Tym razem przeciwko Januszowi Chudzyńskiemu

Sąd Koleżeński w całkowicie innym składzie „Postanowił — czytamy w orzeczeniu — ukarać kol. Janusza Chudzyńskiego karą nagany z ostrzeżeniem. Sąd wziął przy tym pod uwagę społeczną szkodliwość posługiwania się przez dziennikarza niesprawdzonymi zarzutami, a zwłaszcza formami insynuacji. Metody te zasługują na najostrejsze potępienie niezależnie od intencji piszącego i nie mogą być stosowane nawet w obronie słusznej sprawy...”

Ani Andrzej Berkowicz ani Janusz Chudzyński od wyroków sądów koleżeńskich nigdy się nie odwołali.

Rygory Prawa Prasowego ściśle ustalające rozmiary sprostowań i oświadczeń polemicznych zmuszają mnie do ograniczenia rozmiarów oświadczenia. Nie ustosokowuję się przebo szczerotwo do wielu zarzutów, które równie zasługują na polemikę.

Niemniej podkreślam, że odpięcie obelg zawartych w ostatnim akapicie artykułu Berkowicza i przedrukowanym przez „Gazetę Nową” byłoby poniżej mojej godności.

W konkluzji oświadczam, że po upływie przeszło 30 lat od chwili całkowitego wyjaśnienia sprawy, Pan Redaktor jakby nigdy nie powtórzył w druku wielokrotnie przez kompetentne grona napiętnowane kłamstwa.

W ten sposób czytelnicy „Gazety Nowej” wprowadzeni zostali w błąd. Mnie zaś ponownie obrzucono dawno obalonymi kłamstwami.

Główny tytuł publikacji ogłoszonej w „Gazecie Nowej” („Tak było”) jest bałamutny. „Tak nie było”.

WIKTOR LEMIESZ

SATIK
anteny
satelitarne,
tv, video,
przeestrojenia
ZIELONA GÓRA
☎ 65-564
w godz. 10-12
ZESTAWY Z MONTAŻEM
OD 4 MIL. ŻŁ

ZJEDNOCZONE ZAKŁADY
DZIAŁALNOŚCI
GOSPODARCZEJ
przy Klubie Sportowym
„ZASTAL”
zapraszają do sklepu
„GAMBIT”
65-024 Zielona Góra,
ul. Walki Młodych 31
(rejon dworca PKS)
OFERUJEMY:

- szeroką gamę ubiorów sportowych dziewczęcych i młodzieżowych
 - najmodniejszą konfekcję damsko-męską, importowaną i krajową
 - inne artykuły pochodzenia zagranicznego
- PONADTO PROPONUJEMY:
- wycieczki do Berlina Zachodniego (ceny konkurencyjne)
 - współpracę z zakładami w organizacji wycieczek krajowych i zagranicznych

BRÓŃ GAZOWA
AMUNICJA, KABURY
ul. Westerplatte 11
(za budynkiem Spółdzielni Le-karskiej)

Ogłoszenia drobne

VOLON A40 — lek w zastrzykach prod. RPN przeciw astmie po cenie nabytca — sprzedam, Zielona Góra, ul. Budziszynska 22/32. D-199

SPRZEDAM TV Grundig Pal-Secam. Wiadomość: Zielona Góra, tel. 35-71 po godz. 18.00. D-193

KONKURENCYJNE wywoływanie filmów (slajdów) ORWOCHROM UT, UK, 65-536 Zielona Góra, ul. Gwardii Ludowej 51/3 (krótkie terminy). D-194

SPRZEDAM telewizor Rubin w dobrym stanie plus kineskop. Zielona Góra, tel. 670-74.

INTERDENTAL — najnowocześniejsza protetyka, porcelana stomatologiczna — Z. Góra, ul. Lechitów 11 (wtorki i czwartki, godz. 16.30-18.30, rejestracja codziennie godz. 10-13).

TELEWIZOR (35 cm) Toshiba na gwarancji sprzedam. Telefon Zielona Góra 604-47.

VW TRANSPORTER — 1979 — sprzedam. Zielona Góra, tel. 610-89.

MERCEDESA 200 D, 1978 — sprzedam. Świebodzin tel. 110-84.

SPRZEDAM namiot czteroosobowy z butlą gazową (dużą). Zielona Góra, ul. Prosta 3.

SPRZEDAM TV Grundig Pal-Secam, kamera ELBEX-584, 2 monitory ELBEX, ExM-917 G pomocne przy ochronie (muzea, banki itp.) oraz podgląd terenów otwartych dla strażników przebywających w pomieszczeniach. Urządzenie posiada ochronę przed działaniem czynników atmosferycznych. Cena 2990 DM. Oferty w redakcji.

Kącik biznesmena

W OBRONIE URZĘDU SKARBOWEGO

Wcale nie będę zdziwiony jeżeli część biznesmenów, po przeczytaniu tytułu dzisiejszego Kącika, uzna, że zdradzam ich interesy. Na całym świecie mało przychylny stosunek do urzędów podatkowych jest zjawiskiem zupełnie normalnym, a oszustwa podatkowe, zwłaszcza te na drobnej skali, nie są oceniane pejoratywnie w kategoriach moralnych. Podatki są po prostu traktowane jako zło konieczne.

Spieszę wyjaśnić iż moim celem nie jest pochwała władczych zachowań urzędników, którzy zupełnie zapominają o swojej wyłącznej służebnej roli wobec obywateli, ich arogancji czy też niekompetencji. Takie zjawiska, jako zdecydowanie odbiegające od norm obowiązujących w cywilizowanych krajach, zawsze będę tępił na wszelkie możliwe sposoby.

Stając w obronie Urzędu Skarbowego czynię to nie w imię interesów urzędników, chodzi mi o dobro nas wszystkich. Szczególnie teraz, kiedy mamy ustawę o samorządzie terytorialnym, której lekturę gorąco polecam nie tylko biznesmenom — Dziennik Ustaw z 1990 roku nr 16 poz. 95.

Z ustawy tej wynika, że wspólnota samorządowa jaką jest gmina a w przypadku Zielonej Góry — miasto, zorganizowana jest na kształt dużej spółki. Zielona Góra ma osobowość prawną, jak spółka handlowa (akcyjna) działa na podstawie statutu, i także jak spółka ma swój zarząd oraz głównego księgowego. Zatem o mieszkańcach naszego miasta można powiedzieć, że z mocy prawa stali się akcjonariuszami potężnej spółki o nazwie Zielona Góra S.A.

W ten sposób doszedłem do rzeczy najważniejszej. Wspólnicy każdej spółki, co jest zupełnie zrozumiałe, dążą do tego aby ich przedsięwzięcie osiągało jak największe zyski. Tak też winni postępować wspólnicy — mieszkańcy firmy Zielona Góra S.A. Zgodnie z przepisami ustawy, o samorządzie terytorialnym, dochody kasy miejskiej mogą pochodzić z dwóch tytułów:

- prowadzonych przez miasto przedsiębiorstw, będących jego własnością,
- oraz podatków płaconych przez firmy funkcjonujące na terenie miasta.

Wszyscy jesteśmy zainteresowani tym, aby sprawnie działały urządzenia publiczne oraz, aby mieć na wysokim poziomie służbę zdrowia, kulturę, oświatę i ochronę środowiska. Pieniądże na te cele pochodzą przede wszystkim z podatków. A zatem leży również w powszechnym interesie, co niektórym „biznesmenom” może wydać się zaskakujące, sprawne funkcjonowanie urzędu pobierającego (w imieniu wspólnoty Zielona Góra S.A.), należności podatkowe.

Prawie każdy wie, że nowoczesne biuro, oprócz oczywiście odpowiednich warunków lokalowych, winno być wyposażone w dobre środki łączności, komputery, kserokopiarki, telexy, telefaksy itd. Konia z rzędem temu, kto chociażby połowę z tych urządzeń, nie będących przecież niczym nadzwyczajnym, znajdzie w naszym Urzędzie Skarbowym.

Warunki pracy urzędników, a bywam tam dosyć często, są rzeczywiście trudne. Pokoje ponad miarę zapełnione biurkami i ciągle rzesze interesantów, których z braku choćby średniej klasy urządzeń biurowych nie można szybko obsłużyć.

Można oczywiście powiedzieć, że w takiej samej sytuacji są biura innych instytucji. Pamiętaj jednak należy, że obecnie, rola Urzędu Skarbowego uległa zasadniczej zmianie. Jest to teraz nasz urząd, który zbiera pieniądze na nasze potrzeby. Jeżeli zbierze dużo, na turalnie z poszanowaniem obowiązującego prawa, tym lepiej dla nas wszystkich.

Chciałbym aby i tę sprawę nowy samorząd wziął sobie do serca. To przecież normalne, że trzeba zadbać o kogoś kto zbiera pieniądze na nasze potrzeby. Sami zaś urzędnicy, jeżeli warunki ich pracy ulegną poprawie, będą mieli pełniejszą świadomość tego przez kogo są utrzymywani. A konsekwencje takiej świadomości muszą się okazać korzystne dla podatkowników.

ANDRZEJ RYCHLIK



KSIĘGARNIA

ul. Osiedle Pomorskie 7a
65-001 Zielona Góra
Tel. 296-12
Nr konta II oddział PKO
Zielona Góra 97521 32131-136
Elżbieta Jarmolkiewicz

PROPONUJE

Henry Miller „Zwrotnik Raka”
Kraków 1990 Wydawnictwo Literackie s. 332

Powieść napisana i wydana we Francji 56 lat temu szokuje i dziś. Trzydzieści lat musiała czekać na wydanie w krajach anglosaskich. Teraz i polski czytelnik może poznać dzieło, które ciągle budząc kontrowersje, weszło do kanonu XX-wiecznej literatury amerykańskiej. Wysoko oceniona przez wielu wybitnych pisarzy jak T.S. Eliot, Blaise Cendrars, L. Durrell, przez wiele lat nie weszła w krwioobieg literatury amerykańskiej z powodu etykiety z hasłem — pornografia.

L. Durrell pisał o niej: „Zwrotnik Raka” umieściłbym obok „Moby Dicka”. Dzisiejsza literatura amerykańska zaczyna się i kończy na dokonaniach Millera”. Czołowa przedstawicielka „wojujących feministek” do

daje „Miller to kompendium amerykańskich nerwów seksualnych: jego wartość nie polega na uwolnieniu nas od tych schorzeń, ale na uczciwości, z jaką je wyraził i udratyzował”.

„Zwrotnik Raka” to powieść o miłości, nie spełnionej i nieuchwytniej (to także powieść o seksie który ma zabić samotność a jednocześnie potwierdzić ludzką osobowość).

„Prześiąknięty surrealistycznymi wątkami, pełen skatologicznej, często konicznej metaforyki, wyjątkowo plastyczny styl prozy Millera, oscyluje między brutalnym naturalizmem a duchową ekstazą, doskonale odzwierciedla tematykę jego utworów, w których na poróżnione miejsce wysuwają się doznania rozkładu i brzydoty niekiedy zjawiska odrażające traktowane w humorystyczny sposób a jednocześnie dążenie do wzniosłej sublimacji. Podobnie wieloznacznie przedstawia Miller akt seksualny jako symbol kosmicznego nonsensu, a jednocześnie potwierdzenie istoty ludzkiej osobowości. Erotyzm Millera to zarazem komiczna farsa, środek terapeutyczny i manifestacja buntu skierowana przeciw purytańskiej, mieszczańskiej etyce” (A. Kopewicz, M. Sienicka — „Historia literatury Stanów Zjednoczonych. Wiek XX” s. 271).

To ważniejsza książka na tegoroczną skromną listę przekładów.

Przeczytajcie koniecznie!

F. P.

Kuchnia

SZCZYPIOREK, RZODKIEWKA, SALATA

Wiosna to pora, kiedy nasz organizm, zmęczony zimą, cięższymi i tłustymi potrawami potrzebuje „żywieniowej” odmiany, nie tylko w postaci witamin ale i soli mineralnych, mikroelementów oraz tak bardzo nam potrzebnych pierwiastków śladowych. Często nie zdajemy sobie sprawy, że w szczypiorku zjadamy tyle samo wit. C co w cytrynie, a przy tym ogromne ilości żelaza i innych pierwiastków, rzodkiewka także zawiera dużo wit. C nie licząc wielu mikroelementów, a salata, poza dużą ilością soli mineralnych zawiera tak bardzo potrzebny nam błonnik. A więc, doceniemy wartość tych skromnych, a jakże cennych dla nas warzywek i jedzmy je jak najczęściej, nawet trzy razy dziennie! — w różnej postaci.

Najprościej: umyć pod bieżącą wodą, wysuszyć w ściereczce i drobno usiekać pęczek szczypiorku z cebulką, pęczek rzodkiewek, główkę salaty pokroić „w makaronik”, 2 ugotowane na twardo jajka pokroić w kostkę, całość połączyć gęstą, kwaśną śmietaną, sól i pieprz do smaku — i wspaniały dodatek do ciemnego pieczywa z masłem.

1. Ile osób, tyle sporych liści salaty dokładnie umytych pod bieżącą wodą, wysuszonych delikatnie w ściereczce — ułożonych na talerzyku. Na liściach rozkładamy serek homogenizowany (duża łyżka) posypujemy obficie usiekanym szczypiorkiem z cebulką, rzodkiewką (ja biorę także młode listki z rzodkiewki) pokrojoną „w makaronik”, resztę salaty i zieleninę (pietruska, koperka). Dodajemy odrobinę soli i pieprzu, kto lubi, mielonej słodkiej papryki. Do tego, ciemny chleb z masłem.

2. Na każdą osobę 1 jajko ugotowane na twardo. Np. dla 4 osób przygotowujemy: duży pęczek rzodkiewek, pęczek szczypiorku bez cebuli jedną dużą lub dwie małe główki salaty, zieleninę. Jajka myjemy, gotujemy na twardo 7 min., schładzamy w zimnej wodzie i obieramy ze skorupki, następnie rozcinamy na połówki (wzdłuż), wyjmujemy żółtka, łączymy z drobno usiekanymi listkami młodej rzodkiewki, doprawiamy do smaku, dodajemy odrobinę gęstej kwaśnej śmietany lub majonezu i napełniamy tą masą białka. Na dokładnie umytym i wysuszonym liście

salaty kładziemy po dwie połówki jajek, posypujemy usiekanym szczypiorkiem i pokrojoną w cienkie plasterki rzodkiewką, polewamy dobrą, gęstą, kwaśną śmietaną i bardzo lekko solimy. Wierzch tych pięknie wyglądających zielonych gniazdek posypujemy bardzo cienkim makaronikiem z reszty salaty, dekorując czubek różyczką z rzodkiewki. Do tego, ciemne pieczywo z masłem albo tosty z pszennej bułki.

3. Dwa pęczki szczypiorku — najlepszy z młodym cebulką, pęczek rzodkiewek umyć dokładnie, osuszyć w ściereczce, drobno pokroić. Dodać jajko starte na tarce jarzynowej, śmietaną, sól i pieprz do smaku. Można dodać pęczek zielonego koperku. Całość wymieszać, skropić cytryną lub dodać odrobinę kwasu cytrynowego. Ułożyć na listkach salaty, a gdy nie mamy — na talerzykach, do tego ciemne pieczywo z masłem.

4. Młody ogórek (ja zawsze obieram ze skórki) główka salaty, pęczek szczypiorku z cebulką, 2 główki rzodkiewek, gęsta kwaśna śmietana. Ze środka ogórka wykrawamy po 3-4 plasterki które układamy na dokładnie wymytych i wysuszonych w ściereczce liściach salaty (na każdą osobę 2 liście) — pozostałe składniki drobno kroimy: ogórek w półplasterki; wymyć i wysuszone — szczypiorek i rzodkiewkę — oraz pokrojoną „w makaronik” resztę salaty, łączymy ze śmietaną, przygotowujemy do smaku solą i pieprzem i układamy na listkach, z których po bokach dekoracyjnie wychylają się całe plasterki ogórka. Wierzch możemy posypać zieleniną lub ugotowanym na twardo i bardzo drobno usiekanym jajkiem. Do tego — ciemne pieczywo z masłem, bagietka lub grzanki z pszennej bułki.

Jedna zasada, której bezwzględnie należy przestrzegać przy sporządzaniu wiosennych sałatek: **wszystkie warzywa muszą być świeże i przygotowane tuż przed podaniem na stół.**

Pamiętajmy, że kanapka dla dziecka do szkoły, czy dla nas do pracy z kilkoma listkami salaty, uciskanym szczypiorkiem czy rzodkiewką bardzo uatrakcyjni nasze drugie śniadanie.

EWA ASZKIEWICZ

TYDZIEŃ

IMIENINY

- 31 maja — Aliny, Anieli, Gabrieli
 1 czerwca — Gerarda, Jakuba, Konrada
 2 czerwca — Blandyny, Erazma, Eugeniusza
 3 czerwca — Pauliny, Tamary, Leszka
 4 czerwca — Franciszka, Gościmiła, Karola
 5 czerwca — Walerii, Bonifacego, Juliana
 6 czerwca — Aleksandra, Norberta, Laurentego

NIE ZAPOMNIJ

- 1 czerwca — Międzynarodowy Dzień Dziecka
 3 czerwca — Zielone Świątki

TEATR

- 11.05. godz. 10.00 i 12.00 „Bajka o dobrym smoku”
 1.06. godz. 10.00 i 12.00 „Bajka o dobrym smoku”
 1-3.06. godz. 12.00 „Bajka o dobrym smoku”
 1.06. godz. 9.30 i 11.00 „Bajka o dobrym smoku” (Nowa Sól)
 1.06. godz. 9.30 i 11.00 „Bajka o dobrym smoku” (Nowa Sól)

FILHARMONIA

- 1 czerwca godz. 19.00
 Wykonawcy: Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Zielonogórskiej pod dyr. Czesława Grabowskiego, Waldemar Malicki — fortepian
 Program: Stanisław Moniuszko — Uwertura do opery „Verbum mobile”; Ignacy J. Paderewski „Fantazja polska na fortepian i orkiestrę”; Georges Bizet — Suita „Arleżjanka” nr 1; — Suita „Arleżjanka” nr 2

ZDANIE TYGODNIA

Dla samotnego cały świat — pustynia.

(Czechow)

KINA

- „Piast” **BABIMOST**
 31.05.—5.06. A tycasanova (jug. 15 l.)
 Świat na uboczu (ang. 15 l.) Kto rano wstaje (czech. b.o.)
 „Kraowiak” **DZIETRZYCHOWICE**
 31.05.—3.06. Blue velvet (USA 18 l.)
 Rybka zwana Wanda... (ang. 15 l.)
 Elektroniczny morderca (USA 15 l.)
 „Ceramik” **GOZDNICA**
 31.05.—3.06. 300 mil do nieba (pol. 15 l.)
 Maria i Mirabela (rum. b.o.)
 Dzika namętność (USA 18 l.)
 „Iskra” **GUBIN**
 31.05.—3.06. Marcowe migdały (pol. 15 l.)
 Fałszywy książę (czech. b.o.)
 M.A.S.II (USA 18 l.)
 „Światłowid” **KARGOWA**
 31.05.—5.06. Imperium słońca (USA

MUZEA

Lubuskie Muzeum Wojskowe w Drzonowie (czynne 9.30—15.30). Broń XIX/XX wieku. II wojna światowa. Ciężki sprzęt bojowy. Galeria autorska W. Czechowskiej - Antoszewskiej. Malarstwo Bronisławy Wiliamskiej. Ludowe Wojsko Polskie.

Muzeum w Nowej Soli (czynne 10.00—16.00). Konserwacja obrazu Abrahama Beyerena „Dary morza”. Portret dworski XVIII w. Kultura mieszczańska XIX w. Militaria. Herby miast nadodrzańskich w dawnej pieczęci. Przyroda doliny Odry. Rzeźba gotycka drewniana XIV-XV wieku. Malarstwo Güntera Kleina (od 1 czerwca)

Muzeum w Świebodzinie (czynne 9.00—15.00). Dawne rzemiosło świebodzińskie. Przyroda Ziemi Lubuskiej.

Muzeum Marcina Rożka w Wolsztynie (czynne 9.00—15.00). Życie i twórczość M. Rożka.

Izba Pamięci dr. Roberta Kocho w Wolsztynie (czynna po uzgodnieniu w Muzeum M. Rożka).

Muzeum Okręgowe w Zielonej Górze (czynne 11.00—17.00). Galerie autorskie — Jana Berdyszaka, Józefa Cyganka, Aleksandry Domańskiej-Bortnowskiej, Marii Powalisz-Bardońskiej, Leszka Krzyszowskiego. Malarstwo i tkanina przestrzena Lucyny Krakowskiej. Malarstwo Kamili Marchelek. Formy przestrzenne Jana Chwałczyka. Sztuka starożytnego Rzymu. Winiarstwo — sztuka rzemiosło, tradycje. Malarstwo Grażyny Graszki.

Muzeum Archeologiczne Środkowego Nadodrza w Z. Górze z siedzibą w Świdnicy (czynne 9.00—15.00). Środkowe Nadodrza u schyłku starożytności. Obrona polskiej granicy zachodniej. Śr. Nadodrza w pierwszym tysiącleciu przed naszą erą.

- 15 l.) Harry i Hendersonowie (USA b.o.)
 Commando (USA 15 l.)
 „Uciecha” **KOZUCHÓW**
 31.05.—4.06. Złote dziecko (USA 12 l.)
 Bajka o smoku i pięknej królewnie (czech. b.o.)
 Nico (USA 18 l.)
 Jemiec Europy (pol. 15 l.)
 „Lużyczanka” **LIPINKI**
 31.05.—3.06. Magiczny warkocz (chiński 15 l.)
 Na srebrnym globie (pol. 15 l.)
 „Patria” **LUBSKO**
 31.05.—3.06. Joy (fran. 18 l.)
 Winnetou w dolinie umiatych (RFN b.o.)
 Wróbelk Willi (weg. b.o.)
 „Ludowe” **NOWE MIASTECZKO**
 31.05.—4.06. Star wewnątrz (pol. 15 l.)
 Dzikun (pol. 12 l.)
 Superglina (USA 18 l.)
 „Odra” **NOWA SÓL**
 31.05.—5.06. Młode strzelby (USA 15 l.)
 Old Shetterhand (RFN b.o.)
 „Dozamet” **NOWA SÓL**
 31.05.—5.06. Śmiertelnie mroźna zima

Malarstwo Tomasza Słwińskiego „Pejzaż archeologiczny”.

Muzeum Etnograficzne w Z. Górze z siedzibą w Ochli (czynne 10—15). Od włókna do tkaniny. Wycinanki i pisanki Władysława Tomczaka (od 1 czerwca)

Woj. i Miejska Biblioteka Publiczna w Z. Górze (czynna 10.00—17.00).

Muzeum Książki Środkowego Nadodrza. Galeria polskiej ilustracji książkowej. Ilustracje Marii Orłowskiej-Gabryś.

Zagański Pałac Kultury (czynny 10.00—17.00). Henryk Mądrowski — grafika i rysunek. Od zamku do pałacu. Zabytki klasy „0” na pocztówkach — ze zbiorów Jana Drozdowskiego.

Muzeum Martyrologii Alianckich Jeńców Wojennych w Zaganiu (czynne 10.00—16.00)

GALERIE

Zarska Galeria Ekslibrisu (czynna 9.00—16.00).

TELEFONY

- Pogotowie Policyjne 997
 Straż Pożarna 998
 Pogotowie Ratunkowe 999
 Pogotowie c.o. 993
 Pogotowie wod.-kan. 994
 Pogotowie energetyczne 991
 Pogotowie gazownicze 22181
 Pogotowie weterynaryjne 917
 Informacja PKS 22301
 Informacja PKP 3333
 LOT 70797 i 952

Taksówki
 Pomoc drogowa

- Gubin 981
 Kozuchów 493
 Sulechów 981
 Świebodzin 981 i 23507
 Zielona Góra 70552 67765 3056

APTEKI

Zielona Góra — 31.5. ul. Świerczewskiego, 1-6.6. ul. Karola Marksa,
 Lubsko — 31.5.-6.6. ul. XX-lecia.

Nowa Sól — 31.5. ul. 1 Maja
 1-6.6. ul. Wyzwolenia.

Sulechów — 31.5.-1.6. ul. Świerczewskiego, 2-6.6. Al. Wielkopolskie.

Świebodzin — 31.5.-6.6. ul. 1 Maja.
 Wolsztyn — 31.5.-1.6. ul. 5 Stycznia,
 2-6.6. ul. Świerczewskiego.

Zagań — 31.5.-1.6. ul. Śląska, 2-6.6. ul. Pomorska.

Zary — 31.5. ul. Buczka, 2-6.6. ul. Osadników Wojskowych.

WYDARZENIA

■ 1 czerwca o godz. 11.00 w Muzeum Etnograficznym w Ochli otwarta zostanie wystawa wycinanek i pisanek Władysława Tomczaka.

■ Tego samego dnia o godz. 19.00 w Muzeum w Nowej Soli nastąpi otwarcie wystawy malarstwa Güntera Kleina, malarza z RFN.

■ 10 czerwca br. w Królewskich Łazienkach w Warszawie zorganizowana będzie aukcja dzieł sztuki, z której uzyskane środki finansowe zostaną przekazane na rzecz dzieci specjalnej troski na konto funduszu „Dać szansę” w Warszawie.

Ofiarodawcy proszeni są o kontakt z przedstawicielką Krajowej Społecznej Rady Funduszu „Dać szansę” panią Teresą Sikoń w Zielonej Górze.

Podajemy numer telefonu pani Teresy Sikoń: Zielona Góra — 616-55. Nowa Sól 981

Redakcja „Gazety Nowej” organizuje spotkanie przedstawicieli lokalnych gazet, pism i biuletynów. Odjedzie się ono 4 czerwca (poniedziałek) o godz. 17.00 w siedzibie redakcji, pl. Boh. Stalingradu 13 (wejście obok restauracji „Ratuszowa”). Zapraszamy!

Pracująca dziewczyna 19.30
 2.06. Książę w Nowym Jorku 9.30; 11.30; 13.30; 15.30; 17.30; Pracująca dziewczyna 19.30

3.06. Samolub — zestaw bajek 12.00
 Książę w Nowym Jorku 13.30; 15.30; 17.30; Pracująca dziewczyna 19.30

4.06. Mów mi Rockefeller (pol. b.o.); 9.30; 13.30 Pracująca dziewczyna 11.30; 15.30; 17.30; 19.30

5.06. Akademia policyjna (USA 15 l.) 9.30; 11.30; 13.30; 15.30; 17.30 Pracująca dziewczyna 19.30

„Meteor” **ZAGAN**
 31.05.—3.06. Rykoszet (USA 18 l.)
 Sierpina (USA 18 l.)
 Bal na dworcu w Kozłuskach (pol. 15 l.)
 Wiat Serwacy! (weg. b.o.)
 W pogoni za rysem (czech. b.o.)

„Pienier” **ZARY**
 31.05.—3.06. Czarodziej z Harlemtu (pol. b.o.)
 Krokodyl Dundee II (austr. 12 l.)

PROGRAM TV

CZWARTEK 31 MAJA

PROGRAM I

- 8.35 Domator
- 8.50 Domowe przedszkole
- 9.15 Wiadomości poranne
- 9.25 „Uwodziciel” (4) — film ang.
- 10.15 Domator
- 13.30 TTR. Matematyka (sem. IV)
- 14.00 TTR. Współczesne życie kulturalne
- 15.50 MEN — informuje
- 16.00 Czystość z „Karcherem” — rolniczy film oświatowy
- 16.25 Dla młodych widzów: Kwant oraz film z serii „Ordy”
- 17.50 System
- 17.55 Szkoła mistrzów: L. Majewski
- 18.10 Rewizja nadzwyczajna
- 18.25 Magazyn katolicki: Daruję ci życie
- 18.45 10 minut
- 19.00 Dobranoc
- 19.10 Od A do Z
- 20.00 „Uwodziciel” (1) — film ang.
- 21.00 Interpelacje
- 21.50 Sport
- 22.00 Pegaz

PROGRAM II

- 16.55 Korep. dla mat.: j. ang. (47)
- 17.30 „W labiryncie” — (powt.)
- 18.00 Program lokalny
- 18.30 Program na życzenie
- 19.30 Przegląd filmów Piotra Pa- randowskiego: „Harfa i krzyż” — prod. TP
- 20.00 Studio sport: Międzynarodo- we Zawody Jeździeckie CSIO — Sopot
- 21.00 Express reporterów
- 21.45 Kino studyjne Dwójki: „Ho- roskop Jezusa Chrystusa” — prod. węg.

PIĄTEK 1 CZERWCA

PROGRAM I

- 8.15 Express gospodarczy
- 8.35 Domator
- 8.50 Domowe przedszkole
- 9.15 Wiadomości poranne
- 9.25 „Brawo, panie Lolisz” — film fab. prod. ZSRR
- 10.55 Domator
- 13.30 TTR. Matematyka (sem. II)
- 14.00 TTR. Spotkania z lit. (sem. II)
- 15.30 NURT: Polska emigracja
- 16.05 Piłkarska kadra czeka
- 16.25 Dla dzieci: Teatrzyk Piosenki Fasola — „Kraina Niby-Niby”
- 17.30 Raport — public. międzynar.
- 17.55 Sport: Puchar Narodów - Mię- dzynarodowe Zawody Jeździec- kie CSIO — Sopot
- 18.40 Rzeczpospolita samorządna
- 19.00 Dobranoc
- 19.10 Teraz — tyg. gospodarczy
- 20.05 „Co to był za ślub” — film prod. ang.
- 21.40 Sport
- 22.20 Weekend w Jedyńce
- 22.30 Tele - Audio - Video
- 23.05-0.35 Gabinet cieni — widowis- ko publicystyczne

PROGRAM II

- 16.55 Korep. dla mat. — j. ang. (48)
- 17.30 Wzrockowa lista przebojów
- 18.00 Marka Niedźwieckiego
- 18.30 Program lokalny
- 18.30 „Dobra Nadzieja” (10) — film prod. francuskiej
- 19.20 Antena Dwójki
- 19.30 Koncert galowy dla dzieci z Festiwalu Chórow Chłopców
- 20.00 Koncert dla najpiękniejszej
- 20.50 Antyczny świat prof. Kraw- czuka
- 22.10 „Absolwent” - film prod. USA

SOBOTA 2 CZERWCA

PROGRAM I

- 6.45 TTR. Mech. rol. (sem. IV)
- 7.15 TTR. Prod. zw. (sem. IV)
- 7.50 Tydzień na działce
- 8.20 Na zdrowie — pr. rekreacyjny
- 8.40 Ziarno — program Red. Kato- lickiej dla dzieci i rodziców
- 9.00 Drops oraz film z serii „Heidi”
- 10.30 Wiadomości poranne
- 10.40 Hanki Ordonówny tułacze dzie- ci — program dok.
- 11.05 Laboratorium
- 11.35 Telewizyjny koncert życzeń
- 12.05 Telewizja Francuska „La Sept”
- 14.05 Z Polski rodem — mag. polon.
- 14.35 Bo piłka nożna to... — rep.
- 15.05 „Habdank” — pr. o J. Telidze
- 15.45 Informacje — pr. rozrywkowy
- 16.15 Im dalej w las tym więcej... — film dok.
- 16.40 Flesz — mag. muzyczny
- 17.30 Premie i premiery — telewizyj- na giełda piosenki
- 18.30 Butik
- 19.00 Dobranoc
- 19.10 Z kamerą wśród zwierząt
- 20.05 „Sierżant York” — film fab. prod. USA
- 22.30 Miss Polonia '90 (1)
- 23.40 TV przegląd sportowy
- 0.10-1.30 Miss Polonia '90 (2)

PROGRAM II

- 12.00 W świecie ciszy
- 12.30 Studio im. Andrzeja Munka
- 13.30 Małe kino
- 14.00 5 - 10 - 15 — program dla dzieci i młodzieży
- 15.30 Czysta i dźwięk: Karen Tanaka (Japonia)
- 16.00 Rozgłoszenia EWG (2) — rep.
- 17.00 Wielka gra — teleturniej
- 18.00 Program lokalny
- 18.30 Odeon na antenie Dwójki
- 19.30 Alfa i omega
- 20.00 Koncert jubileuszowy Filhar- monii Łódzkiej z udziałem Malcolma Fragera (USA)
- 21.10 Dwa plus dwa — drugi obieg w Dwójce
- 22.30 „Mussolini — historia niezna- na” — (7-ost.) film prod. USA
- 23.30 Studio Foksal '89

NIEDZIELA 3 CZERWCA

PROGRAM I

- 7.00 Witamy o siódmej
- 7.30 Kraj za miastem
- 7.55 Po gospodarstwu
- 8.10 Od niedzieli
- 8.55 Program dnia
- 9.00 Teleranek oraz film z serii „Detektywi na wakacjach” (2) — film TP
- 10.30 Wiadomości poranne
- 10.40 Na podbój oceanów — odc. 1 pt. „Biała śmierć” — film dok. prod. USA
- 11.30 Notowania
- 11.55 Szaloni — film dok.
- 12.30 Dla dzieci: Tęczyowy music-box
- 13.50 Telewizyjny koncert życzeń
- 14.20 Pieprz i wanilia
- 15.05 Festiwal Piosenki Dziecięcej — Tokio '90
- 15.55 „Angielska limuzyna” — odc. (6-ostatni) — film prod. franc.
- 16.55 Antena
- 17.30 Telewizyjny Teatr Rozmaitoś- ci: Leon Schiller — „Gody we selne”
- 19.00 Wieczorynka

- 20.05 „Modrzejska” — odc 4 pt. „Tworzenie siebie” — film TP
- 21.30 Siedem dni: Świat
- 22.00 Sportowa niedziela
- 22.40 Telewizja z podziemia: O nas i za nas

PROGRAM II

- 9.00 Kalejdoskop — mag. woj.
- 9.30 Przegląd tygodnia (dla nie- słyszących)
- 10.05 „Modrzejska” (4) — dla niesłyszących
- 11.37 Jutro poniedziałek
- 12.00 Polska Kronika Filmowa
- 12.10 Wła pytań do...
- 12.50 Maciej Niesiołowski: Z batu- ta i z humorem
- 13.10 Złote Róże Montreaux '90
- 13.40 Kino rodzinne: „Autostrada do nieba” - odc. pt. „Ostatnie zlecenie” — serial prod. USA
- 14.30 A to Polska właśnie — rep.
- 15.30 Podróże w czasie i przestrzeni
- 16.20 Polacy — film dok.
- 17.00 Studio sport
- 17.30 Bliżej świata
- 19.00 Wydarzenie tygodnia
- 19.30 Galeria Dwójki: Stanisław Fi- jałkowski
- 20.00 Sport
- 21.00 Nasz wiek XX: XXVII Mię- dzynarodowy Festiwal Fil- mów Krótkometrażowych — Kraków '90
- 21.45 Teletombola
- 22.45 „Mrzonka” — film TP

PONIEDZIAŁEK 4 CZERWCA

PROGRAM I

- 13.30 TTR. Fizyka (sem. II)
- 14.00 TTR. Biologia (sem. II)
- 15.30 NURT: Edukacja kulturalna —Kształtowanie postaw twór- czych
- 16.25 Luz — program nastolatków
- 17.30 Gorące linie — public. międz.
- 17.55 Wędrowniki dalekie i bliskie: „Armenia '89” — film dok. prod. ZSRR
- 18.45 10 minut
- 19.00 Dobranoc
- 19.10 W Sejmie i Senacie
- 20.05 Teatr TV: Grigorij Gorin — „Zapomnieć o Herostratesie”
- 21.45 Sport
- 21.55 Kontrapunkt — przegląd wy- darzeń krajowych
- 22.25 Targi Jazzowe — Łomża '90 — recital zespołu „Ostatni dzwonek”
- 23.10 Kinomania

PROGRAM II

- 17.15 Program dnia
- 17.20 Czarno na białym
- 17.45 Ojczyzna — polszczyzna: O przenoszeniu wyrazów
- 18.00 Program lokalny
- 18.30 Dziewczyna miesiąca
- 19.20 Życie muzyczne: V Międzyna- rodowy Przegląd Muzyki Ka- meralnej Instrumentów De- tych — Katowice '90, X XIX Międzynarodowy Festiwal Je- nesses Musicales — Częstocho- wa '90
- 20.00 Auto - Moło - Fan - Klub
- 20.30 Osądźmy sami
- 21.15 Rozmowy o cierpieniu
- 21.45 „Życie rodzinne” — film oby- czajowy prod. francuskiej

WTOREK 5 CZERWCA

PROGRAM I

- 8.35 Domator
- 8.50 Domowe przedszkole
- 9.15 Wiadomości poranne
- 9.25 „Bluebell” (4) — film fab.
- 10.35 Domator
- 11.10 W Europie nowożytniej: Gru- zy Bastylii — symbol nowych czasów
- 12.00 Spotkania z lit. (kl. VII): Wła- dysław Reymont, autor „Chło- pów”

- 12.50 Spotkania z lit. (kl. I):
- 13.30 TTR. Nasze spotkania (sem. IV):
- 14.00 TTR. Historia (sem. IV): Prze- miany polityczne w latach 1947 - 1955
- 15.00 W świecie sztuki
- 16.25 Dla dzieci: Tik - Tak
- 16.50 Kino Tik - Taka: „Gumisie” serial animowany prod. USA
- 17.30 Spojrzenia — public. międz.
- 17.55 Klinika zdrowego człowieka
- 18.15 Publicystyka kulturalna
- 18.45 10 minut
- 19.00 Dobranoc
- 19.10 Plus - minus — pr. public.
- 20.00 Spotkanie z min. J. Kuroniem
- 20.15 „Bluebell” (4) — film fab.
- 21.15 Sport
- 21.25 Listy o gospodarce
- 22.00 Ring: Jessy Dixon

PROGRAM II

- 17.25 Program dnia
- 17.30 Dookoła świata
- 18.00 Program lokalny
- 18.30 Dawniej niż wczoraj
- 18.50 Publicystyka
- 19.10 Modlitwa wieczorna — trans- misja z drózek w Kalwarii Zebrzydowskiej
- 19.30 Studio Sport
- 20.00 Non stop kolor — magazyn
- 21.00 Wywiady Ireny Dziedzic
- 21.45 „Crimen” (6-ost.) — film TP

ŚRODA 6 CZERWCA

PROGRAM I

- 7.45 Express gospodarczy
- 8.05 Poznaj swój kraj: Polskie wyspy
- 8.35 Domator
- 8.50 Domowe przedszkole
- 9.15 Wiadomości poranne
- 9.25 „Tajemnica starej cerkwi” — film prod. ZSRR
- 10.35 Domator
- 11.00 Po sześćdziesiątce — magazyn
- 12.00 Spotkania z literaturą (kl. II lic.): Henryk Sienkiewicz —
- 12.50 Fizyka: Atom i energia
- 13.30 TTR. Chemia (sem. II):
- 14.00 TTR. Historia (sem. II):
- 15.30 NURT: Matematyka w szkole podstawowej — Klasa VII
- 16.25 Dla młodych widzów: SOS — sami o sobie
- 16.50 Dla dzieci: Trąba
- 17.30 Sensacje XX wieku: Tajna historia KGB
- 17.55 TV informator wydawniczy
- 18.45 Rolnicze rozmaitości
- 19.00 Dobranoc
- 19.10 Obok nas: Na zielonym przes- myku — reportaż
- 20.05 „Dom lalki” — dramat psycho- logiczny prod. USA
- 21.50 Sport
- 22.00 Lex — mag. społeczno-prawny

PROGRAM II

- 16.35 Korep. dla mat. — j. ang. (49)
- 17.10 Zwierzęta wokół nas: Podaj łapę
- 17.40 Express gospodarczy (powt.)
- 18.00 Program lokalny
- 18.30 Magazyn 102
- 19.00 „Szach i mat” — nowela fil- mowa TP
- 19.30 Portugalia — program dok.
- 20.00 Psychostudio
- 20.20 O czym się mówi — rep.
- 20.40 Przegląd muzyczny
- 21.00 Ze wszystkich stron: „Na Sło- wacji” — reportaż
- 21.45 „W labiryncie” — film TP
- 22.15 Telewizja nocą

☆ Redakcja nie odpowiada za zmia- ny w programie TVP dokonane w ostatniej chwili.

☆ Programy informacyjne 17.15 Te- leexpress, 19.30 Wiadomości (I) 21.30 Panorama dnia (II)

GAZETA

NOWA

REDAGUJE KOLEGIUM: Andrzej Buck (redaktor naczelny), Andrzej Gajda (sekretarz redakcji), Lucyna Małachowska-Grabowska, Czesław Markiewicz, Edward J. Mincer, Konrad Stanglewicz, ZESPÓŁ: Anna Bulat-Raczyńska, Leszek Krutulski-Krechowicz (fotoreporter), Krystyna Kulbicka (redaktor techniczny, kierownik redakcji), Witold Michorzewski (grafik), Jacek Patała, Mieczysław Więckowicz, STALE WSPÓLPRACUJĄ: Bogdan Kuncewicz, Mirek Kuleba, Wojtek Mróz.

ADRES REDAKCJI: 65-067 Zielona Góra, Pl. Bohaterów Stalingradu 13, tel. 30-01

WYDAWCA: „ALPO” SC Zielona Góra, ul. Podgórna 43c, tel. 666-00, fax 666-22, tlix 043 22 20

DRUK: Drukarnia Prasowa ZWP Zielona Góra, ul. Reja 5.

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów. Materiałów nie zamówionych nie zwraca.

KURIER ZIELONOGÓRSKI

U NAS

Wybory, wybory i po wyborach. W Zielonogórskim głosowało 190.312 osób, czyli 41,9 procent uprawnionych. Najwięcej — w mieście i gminie Zbąszczyń (60 proc.), najmniej w Czerwieńsku (33,5 proc.). Wybraliśmy 1159 radnych, wśród nich jest nasz redakcyjny kolega Edward Mincer. Jemu i wszystkim wybranym serdecznie gratulujemy!

28 maja wszystkim matkom, mamom i mamusiom składaliśmy życzenia i kupowaliśmy kwiaty z okazji ich święta. Wypada wierzyć, że wszystkie dzieci — te małe i duże — pamiętały o tej dacie.

W Zielonej Górze wręczono lubuskie nagrody kulturalne, naukowe i techniczne I i II stopnia. Otrzymało je 20 osób. Gratulujemy (dziś po raz drugi).

480 milionów złotych i tytuł krajowego „Mistrza Gospodarności” otrzymali przedstawiciele gminy Siedlce od ministra stanu Józefa Kozioła. Jednak warto być gospodarnym...

Co dalej z „Gazetą Lubuską”? Najpierw było „Oświadczenie”, po tem listy, telefony, stanowiska, aż wreszcie dowiedział się o wszystkim Marszałek Sejmu. Wypada oczekiwać sejmowej debaty na ten temat? Ale Prezydenta prosimy już nie niepokoić...

Koło Pomocy Dzieciom z Niepełną Sprawnością Ruchową istniejące w Wolsztynie, zorganizowało w niedzielę festyn z okazji Dnia Dziecka. Były gry i zabawy, loteria fantowa i wesoły nastrój. Koło działa od półtora roku i zrzesza rodziców trzydziściorga dzieci.

Uliczni, pardon, „obwoźni” handlarze masłem, śmietaną, rybami i kurczętami wygrzewają się i swoje towary w promieniach majowego słońca. A ludziska kupują. Smacznego! Numer telefonu pogotowia ratunkowego na str. 22.

Pogoda sprzyja także rolnikom. W całym województwie zaawansowany jest pierwszy pokos traw. Szacuje się, że pozostało do skoszenia ok. 50 proc. trawiastej powierzchni.

Kosiarce warczą także w naszych miastach. Trawniki już przystrzyżone, teraz kolej na żywopłoty i krzewy. „Zebry” i wszystkie pasy na ulicach też już wybielały.

Rodzicom przypominamy o Dniu Dziecka. Pomysłów na wesołe spędzenie tego dnia z pewnością nie zabraknie. A może by tak zawiesić z okazji święta domowe klitnie mamy i taty? J. P.

PRZESZĘDE NACZELNIK

Obecny naczelnik miasta i gminy w Szprotawie Marian Bagiński, wystepujący w wyborach jako „niezależny”, perfekcyjnie rozegrał kampanię. Kandydował w Dzikowiecach, gdzie znał go jako... człowieka i wygrał. Gratulujemy! W Zielonej Górze podobnie na swoje wyszedł rzeczywisty kandydat SdRP Adam Ruszczyński. Głosując na niego mieszkańcy wojskowych bloków ustawiali się w kolejkę. Słowem: grunt to wycucie elektoratu. Również gratulujemy. Tak czy owak w Szprotawie kandydaci KO „S” odnieśli zwycięstwo wprowadzając do Rady 17 kandydatów na 28 miejsc. Resztkami podzielili się: PSL — 2 osoby, Forum ks. Szykuły (Kościół Polski — 2 dusze, „Niezależni” — 6 osób i Polska Partia Zielonych — 1 osoba. „Zieloni” lanowali ornitologiczne hasło: „Dawnie w RON, dzisiaj KOS — oddaj na Zieonych głos” i... przegrał. Nie gratulujemy! C.M.

Wygrani i przegrani

Władze gminnej Zielonej Góry zasiadły 33 radnych, promowanych przez KO „S”, pięciu z Chrześcijańsko-Demokratycznego Bloku Wyborczego, trzech członków SdRP, dwóch bezpartyjnych z Oświaty i Pomocy Społecznej, przedstawiciela Komitetu Osiedlowego „Lużyckie” i startujący indywidualnie ogrodnik z Dębowej. Kto wygrał, kto przegrał te wybory?

Sukces odniosła w gruncie rzeczy tylko „Solidarność”, choć nie tak efektowny, jak przewidywał przewodniczący KO I. Dryjański (typował 40 mandatów). Może to i lepiej? Natomiast sromotna klęska stała się udziałem KPN-u, ludowców, działkowców, kombatanów i konsumentów, którzy nie wprowadzili do rady ani jednego swego kandydata. Kogo żal? Przede wszystkim reprezentującej „nowe” KPN. Sądząc, że dla wzbogacenia samorządowej mozaiki warto zaprosić członków tej partii (także Unii Polityki Realnej, Partii Republikańskiej czy PPS-u) do pracy w komisjach rady. Należy się im choć skromny udział w współzarządzaniu miastem.

Zaczerpanie politycznej tożsamości i kreowanie ad hoc sojusze nie wyszły na zdrowie chadecji oraz Oświa-

cie. Pierwsi, mając apetyt na 32 mandaty, uzyskali jedynie pięć. Drugi, przygarniając socjaldemokratów, zdobyli dla siedmiu bezpartyjnych kandydatów tylko dwa mandaty.

Osobny temat to SdRP. Wystartowało ich siedmiu, w tym trzech pod szyldem Oświaty. Uzyskali w radzie trzy miejsca... i całkiem pokaż na liczbę głosów. Po prostu postawili się gremialnie poszli do urn wyborczych i głosowali „na swoich”. Czy dzisiaj nie żalują, że „obstawili” tak mało obwodów? Zieleni na Górze jest jeszcze mocno czerwona...

Indywidualnie największym pechowcem okazał się ekolog z WSI, dr inż. R. Sobczak (KO „S”). Zdobył dwukrotnie więcej głosów niż mec. L. Cieślak z ChD, jednak wyeleminowała go proporcjonalna ordynacja wyborcza.

Ciekawe, że „wycięto” zarówno łaknących grosza przedstawicieli kultury (z szóstki kandydatów został się jedynie aktor Z. Grudziń), jak i potrafiących go zarobić rzemieślników (z siedmiu wszedło do rady dwóch, w dodatku zakamuflowanych jako technik i inżynier budownictwa). Kto będzie pilnował, abyśmy w skali miasta „wyszli na swoje”?

Jurczyk w „Polmosie”

Zieloną Górę od 1930 roku odwiedził już wszyscy ważniejsi szefowie central związkowych w Polsce. Był Lech Wałęsa. Wszyscy pamiętamy to wielkie spotkanie w amfiteatrze. Później stan wojenny, w czasie którego władza otwiera i zapisuje pierwszą stronę księgi OPZZ. Dość szybko pojawia się w Zakładach Mięsnych Alfred Miodowicz. W ubiegłym tygodniu do „Polmosu” przyjechał Marian Jurczyk — szef „Solidarności 80”. Niedługo wielki współpracownik, a dziś zagorzały przeciwnik Lecha. Pobyt w Zielonej Górze składał się z dwóch części. Pierwsza — to zebranie załogi LWVG, która miała dowiedzieć się o różnych sprawach i sprawkach za rzuconych dyrektorowi Stanisławowi Palonka przez zakładową „Solidarność 80”. Druga część — to spotkanie otwarte. Niewątpliwie namówienie Jurczyka do uczestnictwa w pierwszym „akcie” miało być jednym z atutów przeciw dyrekcji. Wcześniej bowiem związkowcy zażądali 80 proc. podwyżki płac oraz wyjaśnienia wątpliwości co do celu tworzenia spółki „Polmos” — „Baltona” — „Cognac Gautier”. Zaprawiony w wieloletnich już bojach z liderami zakładowej „osiemdziesiątki” dyrektor Stanisław Palonka zastosował metodę znaną i jak się okazało znów skuteczną. Najpierw zadbał o to, by w sprawach żywotnych dla zakładu (szósta) poparły go pozostałe dwa związki. Na samym zaś zebraniu ze szczególnym pietyzmem dla wszystkich szczegółów wyjaśnił załozę swoje stanowisko w sprawie zarobków i spółki. Bardzo to wszystkich zmęczyło i nawet wejście na salę Mariana Jurczyka w towarzystwie swego zastępcy Stanisława Kocjana nie zburzyło już zaplanowanego porządku. Wprawdzie wypuszczony do boju Kocjan starał się podważyć zaufanie załogi do zamierzonej spółki, ale tę sprawę wziął na siebie „pewien młody człowiek” — nazwany tak później przez Kocjana. Okazało się że przesympatyczny mło-

dy”, jest ekspertem do spraw spółek i przyjechał do Zielonej Góry z Sopotu między innymi chyba i po to, by roznieść na strzępy argumentację wiceprzewodniczącego „Solidarności 80” Stanisława Kocjana. Stało się jasne że Jurczyk mógł w tej sytuacji już tylko ładnie się uśmiechać, zwłaszcza że działacze polmowskiej „Solidarności” zarzucili kolegom z „osiemdziesiątki” metody walki poniżej pasa, tężnie z przygotowaniem fałszywie sygnowanych pism do ministra sprawiedliwości. Oczywiście konkretnego sprawę nie udało się wskazać, ale ujawnienie samego faktu postawiło Jurczyka w bardzo niezręcznej sytuacji. Z lidera stał się on jednym z uczestników spotkania.

Ważnym więc bardzo stało się dla niego spotkanie otwarte o 16.00. Frekwencja okazała się jednak nie najlepsza. Wśród obecnych byli także przeciwnicy „Solidarności 80” głośno dający do zrozumienia Jurczykowi, że go nie lubią. Obaj panowie zachowali jednak spokój i starali

WYKUJEMY
NOWA
PRZYSZŁOŚĆ...



Optymistyczny akcent: jest w radzie gminnej aż siedmiu Jerzych. Będzie więc komu walczyć ze smokiem... (tutaj każdy może wpisać, które z popelnianych w przeszłości w Zielonej Górze błędów uważa za najgroźniejsze). K.H.

się przekonać zebranych, że „okrągły stół” — to zdrada, a jego solidarnościowi uczestnicy — to zdrajcy sprawy sierpnia. Całe to wydarzenie i jego następstwa — to sukces komuny z Rakowskiego zwłaszcza. Połączenie się w bólu nad kolejnymi kłopotami w Słupsku z OPZZ — to tylko zbieżność dat i intencji przyjazdu Jurczyk i Miodowicz. W dy razem nie będa. „Solidarność 80” nie godzi się na to by matki wstały o 5.00 by ludzie tak mało za rabiali by program Balcerowicza wymagal tyłu wyrzeczony, by polska gospodarka znajdowała się w niewoli Banku Światowego.

Co panowie robia żeby było lepiej? — zapytała jedna z uczestniczek Nasz związek jest rewindykacyjny i nie ma obowiązku formułowania programu. W taki mniej więcej sposób wyglądała ta ponad dwugodzinna wymiana poglądów. Jak to jest proste pana — zastanawiał się jeden z małowznych uczestników spotkania po jego zakończeniu — jak to jest, żeby tak wielka i piękna idea tak głęboko podzieliła i oddaliła od siebie jej wyznawców...

MACIEJ SZAFRAŃSKI



Fot. Cz. Luniewicz